

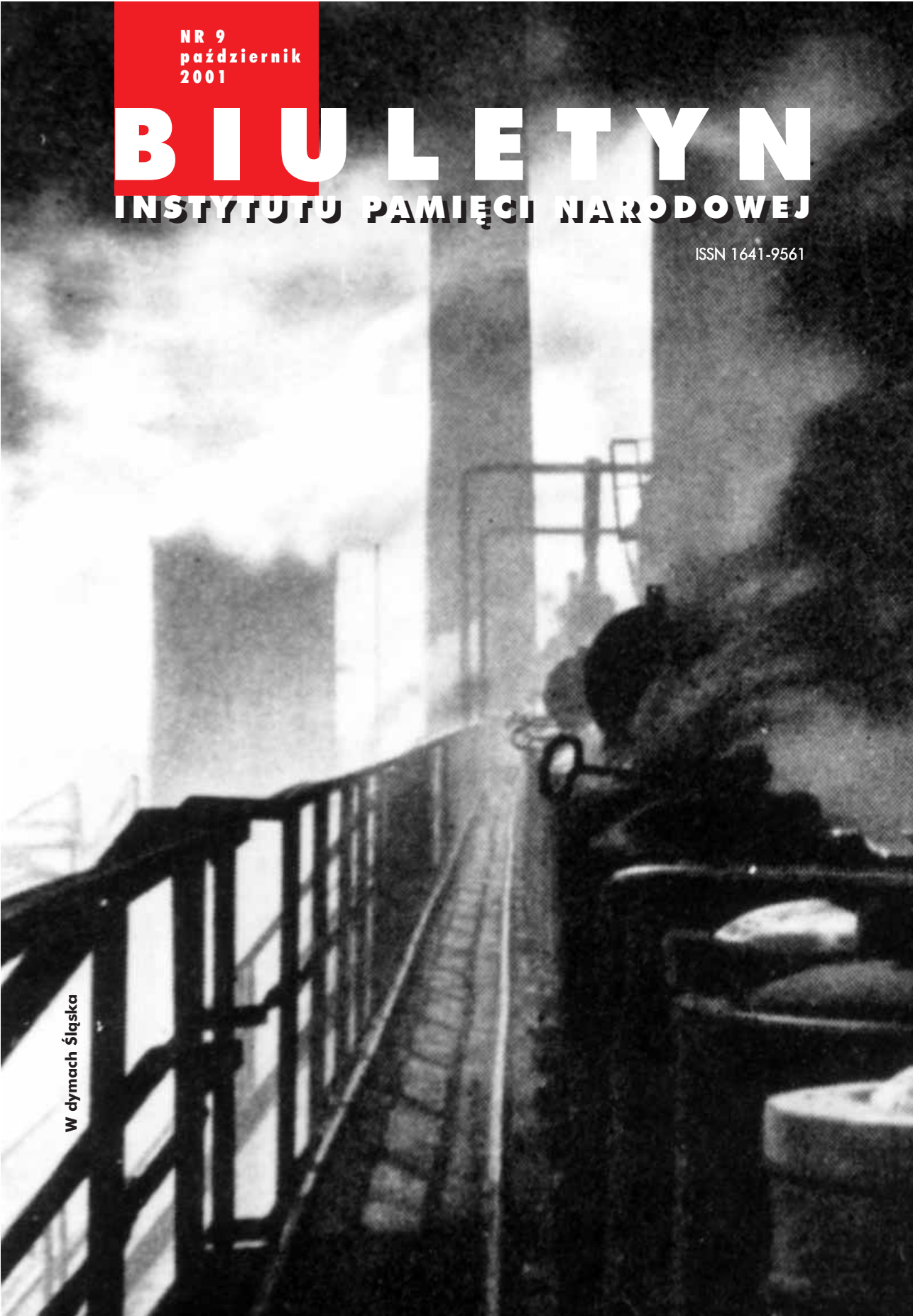
NR 9  
październik  
2001

# BIULETYN

INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ

ISSN 1641-9561

W dymach Śląska





# BIULETYN

## INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ

NR 9  
PAŹDZIERNIK  
2001

### SPIS TREŚCI

■ <b>KALENDARIUM IPN</b> .....	2
■ <b>ROZMOWY BIULETYNU</b>	
TO JEST SPRAWA CZŁOWIECZEŃSTWA. O stosunkach polsko-niemieckich w PRL z historykiem Piotrem Semkowem rozmawia Barbara Polak .....	4
■ <b>PRAWO I HISTORIA</b>	
Mieczysław Góra – ŚLEDZTWO W SPRAWIE OBOZU DLA INTERNOWANYCH NIEMCÓW W ALEKSANDROWIE KUJAWSKIM .....	19
Anna Bilińska-Guń, Zygmunt Kacprzak – ŚLEDZTWO W SPRAWIE ZAGŁADY PACJENTÓW SZPITALI PSYCHIATRYCZNYCH NA TERENIE KRAJU WARTY W LATACH 1939–1945 .....	20
Stanisław Jankowiak – ŁĄCZENIE RODZIN MIĘDZY POLSKĄ A NIEMCAMI W LATACH PIĘĆDZIESIĄTYCH .....	22
■ <b>KOMENTARZE HISTORYCZNE</b>	
Łukasz Kamiński – POZA STEREOTYPEM. POLACY I NIEMCY NA DOLNYM ŚLĄSKU 1945–1947 .....	27
Krzysztof Lesiakowski – NAPAŚĆ NA EWANGELIKÓW .....	31
Adam Dziurok – ZA MAŁO NIEMIECCY, ZA MAŁO POLSCY .....	34
Adam Dziurok – ZA NIEMIECKOŚĆ, ZA VOLKSLISTĘ, ZA NIC. OBÓZ PRACY W ŚWIĘTOCHŁOWICACH .....	42
Piotr Semków – KASZUBI W PRL .....	46
Agnieszka Jaczyńska – DZIECI ZAMOJSZCZYŃNY .....	49
Dorota Sierpacka – ARYJCZYCY W GETCIE ŁÓDZKIM .....	55
Piotr Niwiński – WILEŃSKI I NOWOGRÓDZKI OKRĘG AK W WALCE Z WŁADZĄ SOWIECKĄ 1944–1945. ....	59
Krzysztof Szwagrzyk – ENKAWUDZISTA Z LEGITYMACJĄ SZKOLNĄ .....	66
■ <b>RELACJE I WSPOMNIENIA</b>	
CHLEB BĘDZIE BRONIĄ IDEOLOGICZNĄ. Przemówienie Albina Siwaka opracował Sławomir Cenckiewicz .....	71
■ <b>WYSTAWY IPN</b>	
Marek Lasota – RUCH LUDOWY W SŁUŻBIE RZECZYPOSPOLITEJ .....	73
■ <b>ADRESY TERENOWYCH ODDZIAŁÓW IPN</b> .....	76

# KALENDARYUM IPN

## Kalendarium IPN wrzesień 2001

- 5 września**
- Sejmowa Komisja Sprawiedliwości i Praw Człowieka przyjęła informację o działalności Instytutu Pamięci Narodowej złożoną przez prezesa IPN prof. **Leona Kieresa**
  - dyrektor GKŚZpNP, prof. **Witold Kulesza**, wziął udział w uroczystości wręczenia prokuratorom dekretów z nominacjami na prokuratorów Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu
- 9 września**
- prezes IPN prof. **Leon Kieres** wraz z Prezesem Rady Ministrów **Jerzym Buzkiem** oraz delegacją rządową wziął udział w uroczystościach związanych z 60. rocznicą walk o Tobruk
- 10 września**
- rektor Uniwersytetu Wrocławskiego prof. **Romuald Gelles** oraz prezes Instytutu Pamięci Narodowej prof. **Leon Kieres** podpisali deklarację o współpracy pomiędzy obiema instytucjami. IPN oraz Uniwersytet Wrocławski będą wspierać się wzajemnie w prowadzeniu badań naukowych oraz kształceniu historyków, archiwistów i prawników
- 11 września**
- Instytut Pamięci Narodowej i Ministerstwo Edukacji Narodowej podpisały porozumienie o współpracy. Porozumienie zakłada m.in. współpracę przy opracowywaniu podstaw programowych i kształcenia ogólnego z zakresu najnowszej historii Polski. Instytut Pamięci Narodowej będzie także rekomendował historyków specjalistów celem wpisania ich na listę rzeczoznawców MEN do spraw programów kształcenia i podręczników szkolnych
- 13 września**
- prezes IPN prof. **Leon Kieres** oraz zastępca prezesa IPN, dyrektor GKŚZpNP prof. **Witold Kulesza**, spotkali się z ambasadorem Rosji w Polsce **Siergiejem Razowem**. Podczas spotkania prezes IPN przekazał ambasadorowi Rosji listę 127 sowieckich marynarzy internowanych w Szczecinie, a następnie zamordowanych przez hitlerowców po 22 czerwca 1941 r.
- 14 września**
- w związku z 62. rocznicą agresji sowieckiej na Polskę 17 września 1939 r., prezes IPN prof. **Leon Kieres** spotkał się z przedstawicielami organizacji kombatanckich reprezentujących m.in. Światowy Związek Żołnierzy AK, Stowarzyszenie Szarych Szeregów, Stowarzyszenie Narodowych Sił Zbrojnych, Związek Więźniów Politycznych Okresu Stalinowskiego, Stowarzyszenie Polskich Kombatantów, Fundację Polskiego Państwa Podziemnego
  - Instytut Pamięci Narodowej podpisał porozumienie o współpracy z Ośrodkiem KARTA, które przewiduje wydanie kolejnego tomu *Indeksu Represjonowanych*. Nowy tom dotyczyć będzie dwunastu tysięcy polskich jeńców z września 1939 r. uwięzionych przez władze sowieckie w obozie w Starobielsku. Instytut Pamięci Narodowej czyni starania, aby współpraca z Ośrodkiem KARTA była kontynuowana również w następnych latach
- 17 września**
- w 62. rocznicę agresji sowieckiej na Polskę prezes IPN prof. **Leon Kieres** oraz wiceprezesa IPN dr **Grzegorz Ciecierski** i **Janusz Krupski** wzięli udział

w centralnych uroczystościach, które odbyły się pod pomnikiem *Pomordowanym i Poległym na Wschodzie* w Warszawie

- prezes Instytutu Pamięci Narodowej prof. **Leon Kieres** wziął udział w otwarciu Centrum Informacyjnego w Ośrodku KARTA – internetowej bazy danych zawierającej informacje o obywatelach polskich represjonowanych w ZSRR po 17 września 1939 r. Uroczystego otwarcia internetowej bazy danych dokonał Prezes Rady Ministrów **Jerzy Buzek**

**19 września**

- dyrektor GKŚZpNP prof. **Witold Kulesza** wziął udział w uroczystości wręczenia prokuratorom dekretów z nominacjami na prokuratorów Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu. Zespół prokuratorów IPN liczy teraz 93 osoby, w tym 3 w Głównej Komisji, pozostali w komisjach oddziałowych

**20 września**

- podczas inauguracji IV Dolnośląskiego Festiwalu Nauki na Uniwersytecie Wrocławskim prezes IPN prof. **Leon Kieres** wygłosił wykład *Prawo karne jako narzędzie rozliczenia z przeszłością*

**26 września**

- na Zamku Królewskim w Warszawie prezes IPN prof. **Leon Kieres** wziął udział w uroczystości wręczenia przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego **Andrzeja Zielińskiego** odznaczeń za zasługi dla twórców drugiego obiegu kultury w okresie PRL

**27 września**

- w Dniu Pamięci Polskiego Państwa Podziemnego prezes IPN prof. **Leon Kieres** oraz zastępca prezesa IPN prof. **Witold Kulesza**, dyrektor GKŚZpNP, wzięli udział w uroczystości pod pomnikiem Podziemnego Państwa Polskiego i Armii Krajowej w Warszawie
- Instytut Pamięci Narodowej i Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej oraz Fundacja Polskiego Państwa Podziemnego podpisały deklarację o współpracy obejmującą prowadzenie badań historycznych, działalność edukacyjną i upowszechnianie wiedzy o Polskim Państwie Podziemnym oraz niepodległościowym podziemiu okresu powojennego

*Przygotowali: Anna Bilińska-Gut, Tomasz Poręba*

### STATYSTYKA WYDAWANIA WNIOSKÓW O UDOSTĘPNIENIE DOKUMENTÓW/ZAPYTANIE O STATUS POKRZYWDZONEGO

	wrzesień 2001 r. A/B	od początku wydawania A/B
BIAŁYSTOK	18/17	1026/516
GDĄSK	236/157	2445/1278
KATOWICE	1103/53	1820/818
KRAKÓW	62/53	1755/929
LUBLIN	57/21	1041/447
ŁÓDŹ	24/23	1020/552
POZNAŃ	41/31	1973/979
RZESZÓW	15/20	1163/621
WARSZAWA	77(17)*/49(6)*	2027/1078
WROCŁAW	64/44	1165/644
BUiAD	25/24	2519/947 + 153**
<b>RAZEM</b>	<b>701/500</b>	<b>17954/8962</b>

\*wnioski wydawane i przyjmowane w terenie;  
\*\*wnioski przesłane z konsulatów

A – wydane formularze wniosków  
B – wnioski przyjęte

# TO JEST SPRAWA CZŁOWIECZEŃSTWA

**O STOSUNKACH POLSKO-NIEMIECKICH W PRL  
Z PIOTREM SEMKOWEM, HISTORYKIEM,  
ROZMAWIA BARBARA POLAK**

**B.P.** – Ilu Niemców mieszkało na terenie Polski w 1939 r., w momencie wybuchu wojny?

**P.S.** – Okupowane przez Trzecią Rzeszę ziemie polskie w 1939 r. zamieszkiwało 22 mln 241 tys. osób, z tego prawie połowa na ziemiach wcielonych do Rzeszy, w tym 8 mln deklarujących etniczną i kulturalną przynależność do Polski. Na tereny Generalnego Gubernatorstwa przypadało 12 mln 102 tys. osób – w tym 111 tys. Niemców. Jednocześnie około 700 tys. osób na terenach zajętych przez Trzecią Rzeszę było uznawanych za Niemców.

**B.P.** – I sami uznawali się za Niemców?

**P.S.** – Tak. Przed stworzeniem projektów niemieckiej listy narodowościowej władze niemieckie były zainteresowane zwiększeniem liczby Niemców na tym terenie. Jednym ze sposobów miało być przesiedlenie Niemców – tak zwanych Baltendeutschów – na tereny atrakcyjne pod względem gospodarczym (między innymi polska część Pomorza, Wolne Miasto Gdańsk, wcielone do Rzeszy 1 września 1939 r.). Przybywali tu Niemcy z Litwy, Łotwy i Estonii. Powstał też projekt przesiedlenia z terenów Związku Radzieckiego Niemców besarabskich. Zgodnie z obliczeniami dr. Karla Stumpfa ich liczba sięgała w 1938 r. 87 641 osób. To ciekawa sprawa – gdy rozpoczęła się akcja przesiedleńcza Besarabów, okazało się, że nie bardzo pasują oni do ideału niemieckości i aryjskości. Byli przyzwyczajeni do odrębnych warunków bytowania, do innej kultury. Owszem, posługiwali się językiem niemieckim, pielęgnowali swoje tradycje, obyczaje, ale w przeciwieństwie do Baltendeutschów, przypadło im żyć w zupełnie innym ustroju. Gauleiter okręgu Gdańsk – Prusy Zachodnie Albert Forster miał wątpliwości co do „wartości” osadników ze wschodu, sugerując przy tym wstępny staż germanizacyjny w środowisku prawdziwie niemieckim. Niemcy besarabscy skarżyli się nawet swym władzom, że są traktowani przez urzędników jako Niemcy gorszej kategorii. Łatwiej im było porozumieć się z ludnością podbitą, z Polakami, niż ze swymi pobratymcami.

**B.P. – Według jakich kryteriów oceniano atrakcyjność proponowanych Niemcom terenów w okupowanej Polsce?**

P.S. – Posłużę się przykładem Wolnego Miasta Gdańska i Gdyni, miasta bardzo nowoczesnego (pierwsza akcja wysiedleń z Gdyni zaczęła się już jesienią 1939 r.). Zakładano tak zwane kwestionariusze mieszkaniowe, w których oceniano, czy mieszkanie jest suche, jasne, jaka jest odległość od środków komunikacji, jakie ma ogrzewanie. Ocena mieszkania była jednym z kryteriów wysiedleń Polaków. Niemieckie władze bezpieczeństwa wcześniej bardzo dokładnie rozpracowały gdańską Polonię. Zakładano kwestionariusze osobowe, opisujące nie tylko przebieg kariery zawodowej, życiowej, ale i informujące o odznaczeniach, aktywności społecznej i publicznej. Opatrywano te informacje dopiskami w rodzaju: fanatyczny Polak, podżegacz. I tych właśnie ludzi usuwano z terenów, które miały być rdzennie niemieckie. We wrześniu 1940 r. pojawił się pierwszy projekt zwiększenia liczby ludności niemieckiej w podbitej Polsce w postaci wstępnej volkslisty podzielonej na cztery grupy. Ostatecznie wprowadzono ją w marcu następnego roku.

**B.P. – Czy stworzenie listy narodowościowej okazało się skutecznym zabiegiem?**

P.S. – 1 stycznia 1944 r. na ziemiach polskich wcielone do Rzeszy w Kraju Warty Polacy stanowili około 78 proc.; w okręgu Gdańsk – Prusy Zachodnie – 36 proc.; na Górnym Śląsku – 42 proc., w Prusach Wschodnich – 92 proc. Biorąc pod uwagę tych, którzy zostali uznani według niemieckiej listy narodowościowej za przydatnych dla Rzeszy oraz rodowitych Niemców, proporcje ustaliły się tak, że ponad 60 proc. mieszkańców na terenach wcielonych do Rzeszy uznano za Polaków. Można więc powiedzieć, że akcja rozszerzenia wpływów niemieckich częściowo spaliła na panewce. Uznawanych za „narodowości” (Kaszubi, Ślązacy, Górale, Mazurzy) w rozumieniu rozporządzenia przyjmowano przede wszystkim do grupy III. Ludzie ci otrzymywali tak zwany zielony Ausweis z pieczętką, że uznaje się ich za przynależnych do państwa niemieckiego. Za „przynależnych”, nie za obywateli. Dokument ten opatrzony był klauzulą „do odwołania”, więc władze niemieckie mogły ten przydział cofnąć, gdyby się okazało, że w okresie próbnym dziesięciu lat „przynależni” się nie sprawdzili.

**B.P. – Czy byli ludzie, którym zależało na przyjęciu III grupy?**

P.S. – Było wiele powodów, dla których przyjmowano volkslistę – przymus administracyjny, wybór własny, chęć zrobienia kariery. „Przynależni” zyskali mniej praw niż obywatele Rzeszy niemieckiej, mieli natomiast pewne obowiązki, między innymi służbę w wojsku. Należy pamiętać,







że osoby należące do grupy III i pełniące służbę wojskową dotykały rozmaite obostrzenia, wynikające z nieufności władz – na przykład do oddziałów przydzielano ich pojedynczo lub najwyżej po kilka. Jednak w porównaniu z ludnością, która otrzymała grupę IV, stali w hierarchii obywateli szczebel wyżej. Na ówczesnym Pomorzu w IV grupie znalazło się 77 proc. mieszkańców. Podczas naboru kierowano się różnymi kryteriami, jednym z nich mogło być nazwisko. To o tyle ciekawe, że zastosowanie kryterium nazwiska przy wyszukiwaniu Niemców wśród ludności byłego Wolnego Miasta Gdańska doprowadziłoby do niezwykłego chaosu.

Najskuteczniejszym sposobem, mającym poprawić strukturę zamieszkania Niemców nie tylko na terenach wcielonych do Rzeszy, ale również w Generalnym Gubernatorstwie miała być akcja przesiedleń niemieckich osadników. Według różnych obliczeń osiedlono ich około pół miliona.

#### **B.P. – Jak zmieniła się sytuacja ludności niemieckiej w obliczu nadchodzącego frontu?**

**P.S.** – W 1944 r. Armia Czerwona wkroczyła zarówno w przedwojenne granice państwa polskiego, jak i na tereny znajdujące się wcześniej w granicach Niemiec. Ludność niemiecka na tych obszarach stanęła przed dylematem – zostawać czy uciekać. Niemieckie władze administracyjne w zasadzie do końca, do momentu wkroczenia Rosjan, zwlekaly z podjęciem decyzji o ewakuacji. Nie wiadomo, na co liczyły – na cud? Według niemieckich szacunków przed zakończeniem działań wojennych w maju 1945 r. z terenów zajmowanych stopniowo przez Rosjan uciekło około 5 mln osób.

#### **B.P. – To była ucieczka czy zorganizowana ewakuacja?**

**P.S.** – Jak już powiedziałem – z organizowaniem ewakuacji zwlekano do końca. Tak więc, spodziewając się najgorszego, ludzie masowo i beztładnie uciekali przed nadciągającymi Rosjanami, za linię Odry i Nisy Łużyckiej.

#### **B.P. – Część Niemców jednak pozostała. Nie obawiali się szyskan, zemsty?**

**P.S.** – Ludzie zostawali z różnych powodów, dla wielu była to ziemia rodzinna, inni uważali, że gdzieś się rozpułną w migracyjnej masie. Zostawali, chociaż wiedzieli, że czeka ich niepewna przyszłość. Wielu obawiało się zemsty, rewanżu za lata wojny, chociaż zdarzało się na przykład podczas oblężenia Gdańska w marcu 1945 r., że w jednym schronie siedzieli ci, których do niedawna tępieno za polskość, i ci, którzy do tej pory byli panami, zwycięzcami. Udzielali sobie nawet



Otwarcie średniej szkoły dla dzieci  
niemieckich w zarekwirowanym  
budynku gimnazjum  
im. Stefana Batorego,  
Warszawa, listopad 1939





pomocy, bo strach przed bombardowaniami okazywał się silniejszy niż inne względy.

Sprawa rewanżu na Niemcach to złożony problem, ale można go sprowadzić do jednego mianownika. Kto był człowiekiem, ten również wobec pokonanego wroga zachowywał człowieczeństwo. Wielu jednak próbowało szukać zemsty: często ludzie, którzy w czasie wojny przeszli przez niemieckie więzienia, katownie, szli do więziennictwa tylko po to, żeby się zemścić na Niemcach. Potrzebę rewanżu widać nawet w tym, że Niemcy jako państwo i jako naród pisano małą literą.

**B.P. – Ilu Niemców zdecydowało się mimo wszystko pozostać w Polsce?**

**P.S.** – Po zakończeniu akcji przesiedleńczych kilka razy próbowano ustalić, ilu Niemców pozostało. Zawsze jednak pojawiał się problem, kogo w ogóle zaliczyć do tej narodowości. I tu dochodzimy do bolesnej sprawy, jaką była weryfikacja autochtonów, którzy z własnej woli lub pod przymusem przyjęli którąś z grup niemieckiej listy narodowościowej. Pierwszy spis powszechny z 14 lutego 1946 r. wykazywał, że terytorium Polski zamieszkiwało prawie 2 mln 300 tys. Niemców. Wynik akcji wysiedleńczej mniej więcej do 1950 r. oraz kolejne spisy (powszechny spis ludności był w 1950 r.) wskazywały, że te dane zostały zaniżone o 25–30 proc. Władzom oczywiście było to na rękę. Niemców zatrudniano w gospodarce i przy odbudowie kraju, ale nie traktowano ich jako mniejszość narodową, lecz jako bezpaństwowców.

**B.P. – Obecność Niemców w powojennej Polsce była także problemem dla władz. Jak próbowały ten problem rozwiązać?**

**P.S.** – Zgodnie z układami międzynarodowymi ziemie polskie mieli opuścić wszyscy, którzy zostali uznani za Niemców, czyli około 3,5 mln osób. Już wiosną 1945 r. zaczęto zakładać obozy dla ludności niemieckiej lub dla tych, których uznano za Niemców i próbowano się im zrewanżować za lata okupacji. W obozach internowano między innymi maruderów z niemieckiej armii, aktywistów partyjnych i cywilów, tych ostatnich dlatego tylko, że byli Niemcami; niejednokrotnie trafiała tam również ludność rodzima, którą uważano za politycznie podejrzaną. Internowani pracowali od 10 do 12 godzin dziennie, dostawali bardzo skąpe racje żywności, nierzadko strażnicy znęcali się nad nimi.

**B.P. – Czy jeńcy byli traktowani lepiej? Formalnie chroniła ich konwencja genewska.**

**P.S.** – Konwencja genewska określała wprawdzie zasady traktowania jeńców wojennych, ale w kraju zniszczonym wojną nie było możliwości zagwarantowania im wyżywienia, minimalnej płacy, warunków bytowych, sanitarnych – tak jak by to wynikało z odpowiednich przepi-

sów. W obozach dla jeńców również zdarzały się przypadki zabójstw i prześladowań, ale generalnie byli oni traktowani może nie lepiej, ale inaczej niż internowani.

#### **B.P. – Jak wyglądała akcja wysiedleń?**

**P.S.** – Zasady wysiedleń ostatecznie sprecyzowała Sojusznicza Rada Kontroli Niemiec, czyli zwycięskie mocarstwa, realizujące uchwały poczdamskie. 20 listopada 1945 r. ustalono, że z terenów Polski ma być wysiedlonych 3,5 mln Niemców: do radzieckiej strefy okupacyjnej około 2 mln, a reszta do strefy angielskiej. Ustalono też harmonogram wysiedleń i drogi transportowe. Przewidywano możliwość modyfikacji akcji wysiedleńczej ze względu na ograniczone możliwości techniczne powojennej Polski. Wysiedleńcy mogli zabrać około 20 kg bagażu na osobę i żywność na 10 dni. Zdarzały się oczywiście przypadki celowego szykanowania wysiedleńców, którym odbierano resztki wywożonego dobytku, miały miejsce napady na pociągi, na transporty. Dokonywały tego najrozmaitsze grupy przestępcze, w tym również związane z władzą na danym terenie: uzbrojeni ludzie pod szyldem organów bezpieczeństwa zatrzymywali transport pod jakimś pretekstem i rabowali.

#### **B.P. – Wcześniej Niemcy w panice uciekali przed Armią Czerwoną. Jak po wojnie wyglądały ich wzajemne relacje?**

**P.S.** – Najpierw obawiano się frontu; gwałty i rabunki to sprawa jednostek tyłowych Armii Czerwonej. Po zakończeniu działań wojennych i w okresie budowy polskiej administracji na terenie Śląska Niemcy niejednokrotnie uważali Rosjan za obrońców, a Rosjanie wielokrotnie demonstrowali w stosunku do nich przychylność. Przyczyny tego stanu rzeczy można doszukiwać się w sytuacji społecznej, w jakiej znalazły się obie strony. Były przedstawicielami najpierw paktujących, a następnie walczących ze sobą potęg militarnych (to nic, że jedna z nich została pokonana). Odczuwały wrogość i niechęć Polaków, dla których byli to przede wszystkim niedawni okupanci. Ich wzajemne relacje wynikały, jak sądzę, z syndromu mieszkańców „oblężonej twierdzy”.

#### **B.P. – Jak w tym zaraz powojennym okresie wyglądały relacje Niemców z Polakami?**

**P.S.** – Już wspominałem wcześniej, że był to problem humanizmu. W owych czasach we wzajemnych kontaktach rodziły się takie dylematy – czy pokonanemu wrogowi podać kawałek chleba, czy kazać mu się wynosić z mieszkania. Przed takimi wyborami stawali Niemcy w 1939 i 1940 r., a Polacy w 1945 r.





W stosunku do pozostałych w Polsce Niemców przeprowadzono akcje typowo represyjne, wzorowane na takich samych zabiegach, jakie Niemcy stosowali wobec Polaków podczas wojny. Na przykład nakazywano Niemcom noszenie białych opasek na przedramieniu czy oznaczeń w postaci litery N. W poszczególnych gminach ustalano, jak ma to oznaczenie wyglądać, czy to ma być naszywka na marynarce, czy z tyłu, czy tak jak we Wrocławiu – swastyka. We Wrocławiu także próbowano utworzyć getto dla ludności niemieckiej (z takim projektem wystąpił Bolesław Drobner), ale pomysł ten nie uzyskał akceptacji.

Z drugiej strony próbowano – z różnym skutkiem – chronić Niemców przed nadmiernymi represjami. Z tą myślą powstawały obozy internowania, ale wiele z nich cieszyło się złą sławą (obozy w Łambinowicach, w Potulicach koło Bydgoszczy czy w Sikawie koło Łodzi), w niektórych dochodziło do zabójstw.

W stosunku do Niemców władza była nastawiona represyjnie, widać to choćby w dekreście z 6 marca 1946 r. o majątkach opuszczonych i poniemieckich, sankcjonującym zabór mienia. Do jego przepisów dodano jeszcze stosowne rozporządzenia ministrów obrony narodowej, administracji, bezpieczeństwa publicznego, skarbu, oświaty.

### **B.P. – Kogo powojenne władze polskie uznawały za Niemców?**

**P.S.** – Rodowitych Niemców, tak zwanych Niemców uznanych – to była pierwsza grupa. Władze stanęły przed trudnym problemem, bo z jednej strony chciano ich jak najprędzej wysiedlić, z drugiej zaś sądzono, że mogą być w Polsce w przydatni, więc próbowano ich pozostawić jako fachowców w przemyśle węglowym, metalurgicznym, energetycznym, zatem tam, gdzie istniał deficyt rąk do pracy. Ci uznani Niemcy nie mieli obywatelstwa polskiego, ale nawet gdyby im je zaproponowano, nie chcieliby go przyjąć. Bardziej zależało im na tym, żeby tereny polskie jak najszybciej opuścić. Do tej grupy zaliczano również działaczy Komunistycznej Partii Niemiec (KPD), którzy przeżyli czystkę hitlerowską i radziecką. Polskie władze uważały, że ich miejsce jest w radzieckiej strefie okupacyjnej.

Druąa grupa to folksdojczce, których trzeba było zweryfikować. Nie była to tylko mechaniczna weryfikacja list, lecz przede weryfikacja wszystkim postaw w czasie wojny. Dekretem z 13 września 1946 r. pozbawiono obywatelstwa polskiego tych, którzy w czasie wojny deklarowali narodowość niemiecką; ludzie ci podlegali przymusowemu wysiedleniu, a ich majątek konfiskacie. Podczas weryfikacji osób, które przyjęły volkslistę, niejednokrotnie krzywdzono ludność autochtoniczną, utożsamiając ją z Niemcami. Ktoś stawał się podejrzany ze względu na nazwisko, wyznanie (szczególnie na Warmii i Mazurach, gdzie przeważali protestanci) czy język. Na terenie byłego Wolnego Miasta Gdańska ci, którzy przed wojną deklarowali przynależność do Polonii gdańskiej, posługiwali się swobodnie obydwoąa językami, podobnie było na Ślą-

## Deutsche Volksliste (DVL)

Pierwowzorem niemieckiej listy narodowościowej był urząd o nazwie Deutsche Volksliste, powołany 28 października 1939 r. przez Artura Greisera w tak zwanym Kraju Warty. W intencji twórcy DVL miała służyć weryfikacji ludności niemieckiej zamieszkującej te tereny przed 1 września 1939 r. Osoby zakwalifikowane do wpisania na DVL podzielono na pięć grup. Pomysł ten upadł w związku z *Zarządzeniem o niemieckiej liście narodowościowej i niemieckim obywatelstwie na wschodnich ziemiach wcielonych do Rzeszy* wydanym 4 marca 1941 r. przez ministra spraw wewnętrznych Wilhelma Fricka, Rudolfa Hessa – zastępcy Hitlera i Heinricha Himmlera – naczelnego dowódcy SS i komisarza Rzeszy ds. umacniania niemczyzny. Dotyczyło ono obszarów wcielonych do Rzeszy: Górnego Śląska, części województwa krakowskiego, Wielkopolski, części województwa łódzkiego, Pomorza i Wolnego Miasta Gdańska oraz części Mazowsza.

Zarządzenie i dołączone do niego przepisy wykonawcze wprowadzały cztery grupy: do I zaliczano Niemców, którzy aktywnie uczestniczyli w działalności organizacji niemieckich w Polsce i posyłali swe dzieci do niemieckich szkół, demonstrując w ten sposób swą przynależność do narodu niemieckiego. Do grupy II zaliczono tych Niemców, którzy wprawdzie nie wykazywali się aktywnością w niemieckich organizacjach, ale zachowali swą niemieckość. W III grupie znalazły się osoby, które wprawdzie miały niemieckie pochodzenie, ale uległy polonizacji; osoby, których współmałżonek był Niemcem, a także osoby o innej przynależności narodowej, skłaniające się jednak ku niemczyźnie, jak Ślązacy, Kaszubi, Mazurzy. Do grupy IV zaliczano tych, którzy będąc pochodzenia niemieckiego, ulegli całkowitej polonizacji i przed wojną działali w polskich organizacjach, a nawet odnosili się wrogo do niemczyzny.

Teoretycznie pierwsze dwie grupy miały być traktowane jednakowo. Zaliczone do nich osoby miały takie same (niebieskie) paszporty, choć w myśl późniejszych zarządzeń członkami partii mogli być tylko folksdojczje I grupy. Dla osób z III grupy przewidziano dowody zielone, będące raczej stwierdzeniem, że dana osoba nie przynależy do narodu polskiego. IV grupa otrzymywała czerwone dowody osobiste. Pełną przynależność państwową, a tym samym pełnię praw, mogli otrzymać tylko Niemcy wpisani do dwóch pierwszych grup. Ciężyły na nich także obowiązki obywatelskie, na przykład: obowiązek służby wojskowej, wychowania dzieci w duchu niemieckim i uczestnictwa w niemieckich organizacjach. Wpisani do grupy III mogli otrzymać obywatelstwo wyłącznie w drodze indywidualnego nadania, i to na 10 lat. W tym czasie mogło ono zostać odwołane. Nie mogli być członkami NSDAP, zajmować stanowisk kierowniczych, piastować urzędów honorowych, a nawet studiować, wykonywać niektórych zawodów i swobodnie zawierać małżeństw. Mimo tych ograniczeń ciężyły na nich obowiązki podobne do obowiązków pełnoprawnych obywateli, zwłaszcza służba wojskowa. Grupa IV, tak zwani renegeci, nie mogła w zasadzie przebywać na ziemiach wcielonych, powinni oni bowiem przesiedlić się w głąb Rzeszy. Mogli otrzymać obywatelstwo tylko w drodze indywidualnego nadania, i to warunkowo. Ich majątek ulegał konfiskacie, nie mogli sami zmieniać miejsca zamieszkania, zawierać związków małżeńskich, studiować, należeć do partii itp.

Wpisywanie na listę przebiegało różnie w zależności od terenu. Na Górnym Śląsku i Pomorzu Gdańskim stosowano przymus wpisu, podczas gdy w tak zwanym Kraju Warty wciągano na listę bardzo ostrożnie. Ogółem na Górnym Śląsku i w rejencji opolskiej wpisano 1050 tys. osób, w okręgu Gdańsk – Prusy Zachodnie – 727 tys., a w Kraju Warty – 499 500 osób. Ponadto na terenie Generalnego Gubernatorstwa na volkslistę wpisano 113 tys. osób.





sku, ale twarda wymowa i inny akcent powodowały, że władze traktowały ich jako podejrzanych. Dla wielu negatywna decyzja weryfikacyjna oznaczała degradację społeczną i obywatelską. Nie wiedzieli, jak postąpić, czy zadeklarować wyjazd do Niemiec, czy pozostać i narażać się na cały ciąg dalszych szykan i represji.

Trzecią grupę tworzyli autochtoni. W stosunku do tej grupy ludności postawa władz była niezdecydowana. Z jednej strony mówiło się o odwiecznym ucisku germańskim na odwiecznych ziemiach polskich, a z drugiej prowadzono na siłę akcję repolonizacji.

**B.P. – Jakie to były metody – likwidacja języka niemieckiego w szkolnictwie, odbieranie protestantom świątyń?**

**P.S.** – W latach czterdziestych na dużą skalę prowadzono proces niszczenia wszystkiego, co niemieckie, począwszy od ksiżek, cmentarzy, napisów. *Mein Kampf* i wiersze Goethego były traktowane tak samo. Nawet w latach sześćdziesiątych cenzura dbała, by nie pojawiały się żadne informacje o niszczeniu ponemieckich cmentarzy.

**B.P. – Czy Niemcy byli członkami PZPR i aparatu urzędniczego – na przykład w zakładach pracy?**

**P.S.** – W pierwszych latach po wojnie wśród Niemców panował nastrój wyczekiwania. Istniało państwo polskie, oni zaś nie byli jego obywatelami. W jakimś sensie byli traktowani tak, jakby ich nie było – taki był przecież status bezpaństwowców.

Do partii zaczęto przyjmować Niemców dopiero od 1952 r. Wcześniej postawa władz była ambiwalentna: z jednej strony członków KPD chętnie by się pozbyto, z drugiej – prawdziwych komunistów charakteryzował jednak internacjonalizm. W tym roku zmieniła się też polityka wobec tych, którzy pozostali: zaczęto im przydzielać mieszkania, miejsca w przedszkolach i żłobkach, powierzać stanowiska nadzorcze w pracy, co prawda niższego szczebla. Do tej pory obowiązywał zakaz zajmowania przez Niemców kierowniczych stanowisk, Niemcy nie mogli uczestniczyć i kandydować w wyborach do rad zakładowych, ich praca miała przeważnie charakter akordowy, z poborów potrącano im czwartą część na odbudowę kraju, mieli również ograniczone prawa socjalne, emerytalne itd.

**B.P. – Jakie istotne zmiany w stosunku władz PRL do Niemców przyniósł rok 1952?**

**P.S.** – Sprawa stosunku do Niemców nie da się oddzielić od powojennej polityki międzynarodowej, od podziału Niemiec na strefy okupacyjne. W polskiej prasie, która w tamtym okresie była odzwierciedleniem linii politycznej państwa, widać pewne wyraźne tendencje. Na przykład każdą

próbę odbudowy przemysłu w zachodnich strefach okupacyjnych przedstawiano jako usiłowanie odtworzenia „wielogłowej hydry niemieckiej”, „militaryzmu pruskiego” itd. Utworzenie Niemieckiej Republiki Federalnej zostało natychmiast okrzyknięte jako próba odtworzenia junkierstwa, odbudowa Rzeszy i jej armii. Kolejną kwestią był podział Niemiec na dwa państwa. Nie można było lansować tej samej linii politycznej w stosunku do Niemiec, z których jedne miały być wrogiem, a drugie zaś – sojusznikiem. Układ zgorzelecki rozpoczął normalizację stosunków między Niemcami („lepszymi”) i Polską. Negocjacje dotyczące akcji łączenia rodzin między NRD a Polską, które rozpoczęły się 21 stycznia 1950 r., nie mogły pomijać problemu ludności niemieckiej.

Do Niemiec Wschodnich mieli wyjechać przede wszystkim ci, którzy zadeklarowali swoją niemieckość, mieli tam rodziny, rozbite na skutek działań wojennych. W rezultacie tej pierwszej akcji łączenia rodzin, czyli mniej więcej do 1955 r., do NRD skierowano w sumie 41 transportów, którymi wyjechało około 100 tys. Niemców. Według oficjalnych danych z 1955 r. w PRL mieszkało około 160 tys. Niemców, którzy posiadali obywatelstwo polskie, i około 11 tys. tych, którzy posiadali obywatelstwo niemieckie.

#### **B.P. – Nie było już bezpaństwowców?**

**P.S.** – Ta kwestia przestała istnieć po przyjęciu konstytucji PRL w 1952 r. Trzeba pamiętać, że pierwsze lata powojenne to akcja wysiedleń ludności niemieckiej, akcja weryfikacji folksdojczów. Prowadzona na siłę działalność polonizacyjna (próbowano na przykład przedstawiać dzieci na mówienie literackim językiem polskim, a nie gwarą) skutkowałą pożądanymi przez władzę reakcjami ludności, ale zadecydowała również o niejednoznaczności postaw na tak zwanych gorących terenach – Warmii, Mazurach, Śląsku Opolskim.

#### **B.P. – Czy Niemcy będący obywatelami polskimi podlegali obowiązkowi służby w wojsku?**

**P.S.** – Tak. Znamy takie enuncjacje prasowe, że Niemców powołuje się do wojska polskiego. Konsekwencją utworzenia dwóch państw niemieckich było utworzenie dwóch armii. Informacje o jej powołaniu w Niemczech Zachodnich nazywano remilitaryzacją, odbudową Wehrmachtu, a przecież bardzo starano się usunąć wszystkie symbole i pozostałości związane z Trzecią Rzeszą. Odmienne umundurowanie to tylko przykład. W NRD natomiast cała symbolika przedwojennej armii niemieckiej, odpowiednio tylko spreparowana, pozostała. Prasa jednak przedstawiała to tak, jakby było odwrotnie.

#### **B.P. – Czy w tym czasie wychodziła jakaś niemieckojęzyczna gazeta, czy były niemieckie szkoły?**





**P.S.** – Były gazety codzienne, potem utworzono tygodnik „Die Woche in Polen”, zaczęto też tworzyć szkoły, w których uczono po niemiecku. Pierwsze podręczniki szkolne były starymi podręcznikami z okresu Trzeciej Rzeszy, odpowiednio ocenzone. Później wykorzystywano podręczniki enerdowskie. A polski stanowił dla tych dzieci nadal język obcy, zresztą te lekcje były bardzo upolitycznione.

**B.P.** – Znam relacje moich rówieśników ze Śląska, którzy tak jak i ich rodzice marzyli o wyjeździe do Niemiec. Propaganda tego okresu była tak agresywna i głupia, że oni po prostu nie wierzyli w to, czego uczono ich w szkole o drugiej wojnie światowej, o Hitlerze. Byli absolutnie przekonani, że to są takie same kłamstwa jak wszystkie inne, które wciąż tu słyszeli.

**P.S.** – Dzieci uczyły się w szkole o wojnie, bandytyzmie, morderstwach, obozach koncentracyjnych, a potem wracały do domu i widziały, że ich rodzice są szykanowani, dostają niższą płacę. Oprócz prób oznakowania Niemców pojawiały się też takie pomysły, żeby golić im głowy, często padały pod ich adresem wyzwiska: ty świnię, ty Szwabie, ty Hitlerze. Jednym z kolejnych pomysłów szykanowania Niemców i tych, którzy mieli w Niemczech Zachodnich rodziny, było podniesienie taryf celnych za otrzymywane z Niemiec paczki. To wszystko przenosiło się na dzieci.

**B.P.** – Pamiętam nagłaśnianie przez prasę faktów odprawiania w niektórych świątyniach mszy w języku niemieckim.

**P.S.** – Dla władz była to dość drażliwa sprawa. Duchowieństwo szykanowano za to, że odprawia msze w języku niemieckim. Tam, gdzie był spory odsetek ludności niemieckiej, część duchowieństwa odprawiała msze w języku niemieckim, ale na fali narastającej walki z Kościołem w ogóle bardzo utrudniano praktyki religijne. A tu dodatkowo kryterium narodowościowe przenoszono na wyznanie: kto nie był katolikiem, ten automatycznie nie był Polakiem. Zdarzało się, że w trybie alarmującym donoszono władzom, że odprawia się nabożeństwo w języku niemieckim, a władza traktowała to jako dowód regermanizacji lub podtrzymywania ducha niemieckiego.

**B.P.** – Czy koniec stalinizmu spowodował jakieś zmiany w oficjalnej polityce wobec Niemców i czy obserwowano się przełom w stosunkach między ludźmi w lokalnych społecznościach?

**P.S.** – Odwilż w stosunkach politycznych w kraju rzeczywiście przyniosła pewne zmiany. Od 1954 r. obowiązywało zalecenie dla władz lokalnych, żeby namawiać do wyjazdu do NRD, gdyby ktoś deklarował wyjazd do Niemiec. Polityka narodowościowa w stosunku do niemieckojęzycznych obywateli istotnie zmieniła się po 1956 r. W kwietniu



Wysiedlenie Niemców z Dolnego Śląska

1957 r. sekretariat Komitetu Centralnego PZPR wystosował list do podległych sobie partyjnych placówek terenowych o prawie do zachowania i pielęgnowania tożsamości. W dalszym ciągu jednak obowiązywały stare hasła i obowiązek usuwania przejawów nacjonalizmu – „macie więc prawo do pielęgnowania tradycji i tożsamości, ale uważajcie, bo to może być kojarzone z nacjonalizmem”. Z jednej strony pojawiły się hasła o równouprawnieniu i walce z nietolerancją, a z drugiej, jeśli ktoś oficjalnie używał swego języka rodzimego, budził podejrzania. Charakterystycznym przykładem głęboko zakorzenionych stereotypów narodowościowych jest grób Michała Kajki (polskiego patriotę związanego z ziemią mazurską). W 1959 r. został zbezczeszczone napisami „Szwab”, a w 1970 r. na pomniku namalowano swastyki. A które dziecko chciało być Niemcem w czasie podwórkowych zabaw w wojnę?

**B.P.** – „Solidarność” upomniała się o prawa dla mniejszości narodowych. Nastąpił pewien renesans stowarzyszeń narodowościowych, potem partii narodowościowych, związków wyznaniowych itd. Przedstawiciele mniejszości zaczęli wtedy aktywniej działać, może nie do końca motywowani antykomunizmem, ale dlatego, że mieli możliwość załatwienia różnych spraw dla swoich rodaków.

**P.S.** – To się zaczęło jeszcze przed „Solidarnością”. Od dłuższego czasu działało Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Niemców. Starania o jego powołanie rozpoczęły się w 1956 r., po październiku statut Towarzystwa opracował Komitet Miejski PZPR w Wałbrzychu (gdzie Niemców było stosunkowo bardzo dużo). Wychodziły gazety: „Aufbau” i „Arbeiterstimme”. Towarzystwo od początku zajmowało się sprawą wyjazdów do Niemiec, do rodziny czy do pracy. Za pośrednictwem Towarzystwa zaczęły masowo spływać wnioski o umożliwienie wyjazdu.



Władze lokalne nie umiały nad tym zapanować i dlatego dokładnie kontrolowały działalność Towarzystwa. Władzom zależało budowaniu pozytywnego wizerunku NRD. Należało mówić o współpracy, dobrych Niemcach, partnerstwie od dawien dawna itd. Towarzystwo prowadziło działalność kulturalną, powstawały zespoły amatorskie, ale nie miało ono na przykład prawa do użytkowania lokalu, szykanowano jego członków, zdarzały się pobicia i aresztowania. Mimo prowadzonej przez władze kontroli, politycznej kurateli i prób ograniczenia wyjazdów ani władze, ani Towarzystwo nie były w stanie nad tym zapanować. Z biegiem czasu działalność organizacji ograniczyła się wyłącznie do roli biura turystycznego z biletem w jedną stronę.

W latach osiemdziesiątych powoływano do życia – jeszcze bez rejestracji sądowej – Niemieckie Koła Przyjaźni, a w ślad za nimi zaczęły powstawać nowe organizacje, które powołały 12 września 1990 r. Radę Naczelną Stowarzyszeń Niemieckich w Rzeczypospolitej Polskiej.

**B.P. – Dlaczego tak utrudniano Niemcom wyjazdy? Czy chodziło tylko o propagandowy wizerunek PRL, z której nikt nie chce wyjeżdżać, bo jest w niej tak dobrze? Czy może Niemcy byli Polsce jakoś potrzebni?**

**P.S. –** Chodziło o ochronę wizerunku PRL-owskiego rajy. Dla propagandy było niedopuszczalne, żeby ktoś chciał wyjeżdżać z Polski, która wygrała wojnę, do Niemiec, które ją przegrały, dlatego starano się skłaniać Niemców do wyjazdów z Polski do NRD, a nie do RFN.

**B.P. – Czy mieszkających w Polsce Niemców angażował niemiecki wywiad, na przykład Stasi?**

**P.S. –** Na pewno takie działania istniały. W prasie polskiej w latach sześćdziesiątych często pojawiały się enuncjacje o aktywności zachodniemieckiego wywiadu w Polsce, o ziomkostwach, o próbach odrywania ziem zachodnich, Śląska, poróżnienia ludności. I to nie była tylko propaganda, bo jednak Niemcy Zachodnie i Polska należały do dwóch różnych bloków militarnych. I jedna, i druga strona prowadziła działania wywiadowcze, w dodatku ślady wojny były wciąż bardzo świeże. Podgrzewanie atmosfery w społeczeństwie, lansowanie tezy o zagrożeniu niemieckim wynikały z konieczności odwrócenia uwagi ludzi od innych problemów, choćby ekonomicznych.

**B.P. – I właśnie w tym czasie z okazji rozpoczęcia obchodów Milenium biskupi polscy apelują do biskupów niemieckich z prośbą o wzajemne wybaczenie.**

**P.S. –** Rocznica obchodzonego uroczystie tysiąclecia państwa polskiego zbiegła się z kolejnym zaostrzeniem się stosunków państwo-Kościół, o czym nie należy zapominać. I w tym czasie biskupi polscy

czynią pojednawczy gest wobec pasterzy Kościoła katolickiego w Niemczech. Posłużę się cytatem: „W tym, jak najbardziej chrześcijańskim, ale i bardzo ludzkim duchu, wyciągamy do was, siedzących tu na ławach kończącego się Soboru, nasze ręce, którymi udzielamy wybaczenia i prosimy o nie”. Zbiegły się dwa wydarzenia: Drugi Sobór Watykański i przygotowania do obchodów tysiąclecia państwa polskiego. To nie przypadek, że wybrano ten właśnie moment. Mimo licznych prób nie udało się odciąć chrześcijańskich korzeni w historii państwa polskiego. Opublikowanie tego listu wywołało prawdziwy atak wściekłości władz partyjno-państwowych. Rozpętała się nagonka o charakterze antykościelnym i partyjno-narodowym: w czym imieniu biskupi ośmielają się wyciągać ręce i przeproszać? I kogo przepraszają – wroga? I o co proszą – o wybaczenie?

**B.P. – Myślę, że komuniści po prostu nigdy nie rozumieli słowa: przeproszam czy wybaczam.**

**P.S. –** Autorzy tego listu mieli pełną pamięć i wojny, i powojennych akcji wysiedleńczych. List jest datowany 18 listopada 1965 r., a już 10 grudnia 1965 r. opublikowany został artykuł, którego autorstwo przypisuje się Zenonowi Kliszce, zatytułowany *W czym imieniu?*. Autor zaatakował Episkopat za sam pomysł wyrażania skruchy, zarzucił bezprawie w posługiwaniu się przeprosinami w imieniu narodu polskiego: „w naszej ludowej ojczyźnie sobiepaństwa nie ma i nie będzie”. Zgodnie z tezą artykułu polityka partii i polityka Kościoła wobec Niemiec miały być takie same. Oprócz oficjalnych nagonek zastosowano wobec Kościoła szereg najrozmaitszych szykan, mniej lub bardziej jawnych.

Rozpoczynają się obchody Milenium, które obydwie strony, władze państwowe i Kościół, świętują oddzielnie. 14 kwietnia 1966 r. w Gnieźnie odbywa się wielka uroczystość o charakterze religijnym, zorganizowana przez Episkopat, w rocznicę przyjęcia przez Polskę chrztu. W tym samym czasie, 16 kwietnia 1966 r., odbywa się, z udziałem Mariana Spychalskiego, ówczesnego ministra obrony narodowej, dosyć ciekawie uzasadniana impreza obchodów 21. rocznicy sforsowania Odry i Nysy Łużyckiej.

Przełomem w stosunkach między tymi „złymi” Niemcami a Polską był rok 1970. Wizyta Willy’ego Brandta w Warszawie i zawarcie układu o normalizacji stosunków między Polską a RFN były jednym z największych sukcesów Władysława Gomułki, chociaż spadkobiercą tego układu stał się jego następcą, Edward Gierek. W zamian za kredyty Gierek pozwolił na kontynuowanie akcji łączenia rodzin.

**B.P. – Kto jej podlegał?**

**P.S. –** Wyjeżdżali nie tylko ci, którzy się czuli Niemcami, lecz również ci, którzy podczas wojny byli prześladowani za to, że byli Polakami.





Jeszcze w latach pięćdziesiątych do Niemiec wyjechała rodzina jednego z obrońców Poczty Gdańskiej, który został rozstrzelany 5 października 1939 r. na Zaspie. Wdowa po nim i dzieci wyjechały, przyjęły niemieckie obywatelstwo. To jest charakterystyczny los ludzi z „gorących terenów”. Przed wojną byli prześladowani za polskość, w czasie wojny tępieni za polskość, po wojnie podejrzani, ponieważ mówili nieco inaczej, odmiennie niż przybysze z różnych stron Polski. Wyjeżdżali też ludzie, którzy wojnę przesiedzieli w niemieckich obozach koncentracyjnych. Motywy wyjazdów były różne, nie tylko ekonomiczne.

**B.P. – Pan jest stąd, z Gdańska, czy był pan świadkiem takiej sytuacji, że o kimś mówi się z pogardą, nienawiścią, niedowierzaniem, że jest Niemcem?**

**P.S. –** Nie są mi znane takie przypadki, nie zetknąłem się z nimi. W moim pokoleniu nawet jeżeli o kimś wiedziasto się, że jest Niemcem, a raczej Niemcem z pochodzenia, to nie budziło żadnych emocji i kompleksów. Wiadomo, że po boomie gospodarczym Gierka, po otwarciu na świat, po odreagowywaniu siermiężnego Gomułki, akcji wyjazdów ekonomicznych, końcówka lat siedemdziesiątych przyniosła postępujący kryzys gospodarczy. Kto mógł wykorzystywał wszystkie możliwości kontaktów zagranicznych. Nadchodzące z Niemiec Zachodnich paczki pogłębiały nie po raz pierwszy powszechną świadomość, że u tych, którzy przegrali wojnę, jest lepiej.

**B.P. – Czy tu, na Pomorzu, istnieją obawy przed powrotem Niemców do mieszkań i gospodarstw, czy to w ogóle jest jakiś problem?**

**P.S. –** Owszem, pojawiają się obawy przed wykupywaniem. To jest pewien problem ekonomiczny. Jeśli chodzi o Niemców starszego pokolenia, z pewnością z powodów sentymentalnych niektórzy z nich chcieliby powrócić. Natomiast młodzi żyją innymi sprawami, choć oczywiście również przyjeżdżają obejrzeć Heimat. Myślą innymi kategoriami, bardziej praktycznie. Taka tendencja charakteryzuje w ogóle dzisiejsze czasy – pielęgnowanie korzeni i racje sentymentalne to jedno, a życie w dobrze funkcjonującym i dobrze zorganizowanym świecie to drugie.



**Piotr Semków** – dr nauk humanistycznych (historia). Specjalizuje się w historii politycznej XX wieku (Pomorze Gdańskie). Autor „Polityki Trzeciej Rzeszy wobec ludności polskiej na terenie byłego Wolnego Miasta Gdańska w latach 1939–1945”. Pracownik Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Gdańsku.

# ŚLEDZTWO W SPRAWIE OBOZU DLA INTERNOWANYCH NIEMCÓW W ALEKSANDROWIE KUJAWSKIM

19 lutego 2001 r. wszczęto śledztwo w sprawie zabójstw popełnionych przez funkcjonariuszy byłej Milicji Obywatelskiej i Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego na osobach narodowości niemieckiej zamieszkałych w Aleksandrowie Kujawskim i na terenie byłego powiatu nieszawskiego w okresie luty 1945–maj 1946 – to jest o czyn z art. 148 § 1 kk, w związku z art. 1 pkt 1 lit. a Ustawy z dnia 18 grudnia 1998 r. o Instytucie Pamięci Narodowej – Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu.

Podstawą do przeprowadzenia czynności sprawdzających, a następnie wszczęcia śledztwa, był artykuł redaktora Piotra Pytlakowskiego *Naprzykrzyło się grzebać* zamieszczony w tygodniku „Polityka” nr 4 z 27 stycznia 2001 r. oraz nr 8 z 24 lutego 2001 r. W artykułach autor opisuje masowe zabójstwo osób narodowości niemieckiej na terenie byłego powiatu nieszawskiego. Najprawdopodobniej czyn ten został popełniony przez funkcjonariuszy byłej Milicji Obywatelskiej i Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego z Aleksandrowa Kujawskiego. Wszczęte postępowanie ma na celu wyjaśnienie wydarzeń opisywanych w artykułach.

Przeprowadzono kwerendę materiałów archiwalnych w Archiwum Państwowym w Toruniu, Włocławku i Bydgoszczy, Delegaturze Urzędu Ochrony Państwa w Bydgoszczy, Komendzie Wojewódzkiej Policji w Bydgoszczy. W sprawie internowania osób narodowości niemieckiej w byłym powiecie nieszawskim oraz późniejszych ich losów przesłuchano 42 świadków. Z większości ich relacji wynika, że już w końcu stycznia 1945 r., zaraz po wejściu Rosjan, Niemcy zostali zamknięci w młynie parowym w Aleksandrowie Kujawskim. Budynku pilnowali funkcjonariusze byłej Milicji Obywatelskiej i nie dopuszczali do niego mieszkańców. Świadkowie wymieniają domniemanych sprawców – sprawdzane są teczki personalne byłych funkcjonariuszy. Skład etatowy Komendy Milicji Obywatelskiej w Aleksandrowie Kujawskim w tym czasie wynosił 224 osoby. Według świadków, którzy opierają się na relacjach osób nieżyjących lub znają sprawę z opowiadania, mord skoszarowanych, pracujących już jakiś czas osób narodowości niemieckiej nie był tylko spontanicznym odruchem zemsty. Twierdzą, że nie wiadano, co z nimi zrobić i najwyraźniej gdzieś zapadła decyzja o ich likwidacji. Z zeznań świadków wynika, że zabitych mogło być około 100 osób narodowości niemieckiej. Wskazywane są miejsca masowych grobów. Po przeprowadzeniu wizji lokalnej, sondażowych odwiertów i ekshumacji możliwe będzie stwierdzenie, czy doszło do masowych zabójstw osób narodowości niemieckiej na terenie byłego powiatu nieszawskiego.

Kierunek dalszego śledztwa uzależniony jest od zeznań świadków, analizy materiału archiwalnego i ekshumacji.



# ŚLEDZTWO W SPRAWIE ZAGŁADY PACJENTÓW SZPITALI PSYCHIATRYCZNYCH NA TERENIE KRAJU WARTY W LATACH 1939–1945

Zagładę szpitali psychiatrycznych na terenie Kraju Warty hitlerowskie władze okupacyjne rozpoczęły w listopadzie 1939 r. Wcześniej, we wrześniu i październiku 1939 r., zakłady psychiatryczne na tym terenie były przejmowane z rąk administracji polskiej przez władze niemieckie. Wraz z przejściem zakładów następowały zmiany: na stanowiska dyrektorów, kierowników administracyjnych i nadpielęgniarzy angażowano Niemców przybyłych z Rzeszy. Zwolniono część personelu medycznego i pielęgniarskiego, ograniczono stosowanie leków i wydano zakaz zwalniania chorych z zakładów.

W przejętych zakładach psychiatrycznych sporządzono listy pacjentów, jak to określano, „do ewakuacji”, będące podstawą do wywożenia chorych, a następnie ich uśmiercania.

Akcją uśmiercania pacjentów szpitali psychiatrycznych zajmowała się specjalna jednostka funkcjonariuszy Tajnej Policji Państwowej w Poznaniu, dowodzona przez Hauptsturmführera Herberta Langego. Jednostkę tę nazywano „SS – Sonderkommando Lange”. Oprócz funkcjonariuszy SS przydzielono do niej grupę więźniów z Fortu VII, między innymi Henryka M., skazanego przez Sąd Okręgowy w Koninie 6 lipca br. na osiem lat pozbawienia wolności za udział w zbrodniach ludobójstwa w obozie zagłady w Chełmnie nad Nerem.

Początkowo chorych z zakładów psychiatrycznych uśmiercano w bunkrze w Forcie VII w Poznaniu. Ofiary zamykano w bunkrze, którego otwory więźniowie uszczelniali gliną. Następnie do wnętrza doprowadzano gaz z butli stojącej przed bunkrem. Po krótkim czasie zwłoki zagazowanych pacjentów były wyciągane z bunkra i ładowane na samochody przez grupę więźniów Fortu VII. Inna grupa chowała je w masowych grobach w lesie koło Obornik. W ten sposób uśmiercono około 1000 pacjentów z Zakładu Psychiatrycznego w Owińskach oraz 27 pacjentów z Oddziału dla Umysłowo Chorych Szpitala Miejskiego w Poznaniu.

Akcja uśmiercania chorych z innych zakładów psychiatrycznych odbywała się już przy zastosowaniu samochodu – komory gazowej, specjalnie przystosowanego do zatruwania tlenkiem węgla. Chorych ładowano na samochody ciężarowe kryte brezentem, by następnie w lesie, w miejscach uprzednio wyznaczonych, wprowadzić ich do samochodu – komory gazowej. Więźniowie polscy wyładowywali później zwłoki zagazowanych z komory gazowej i grzebali w zbiorowych mogiłach. Po zakończeniu akcji cały teren maskowano trawą i małymi drzewami.



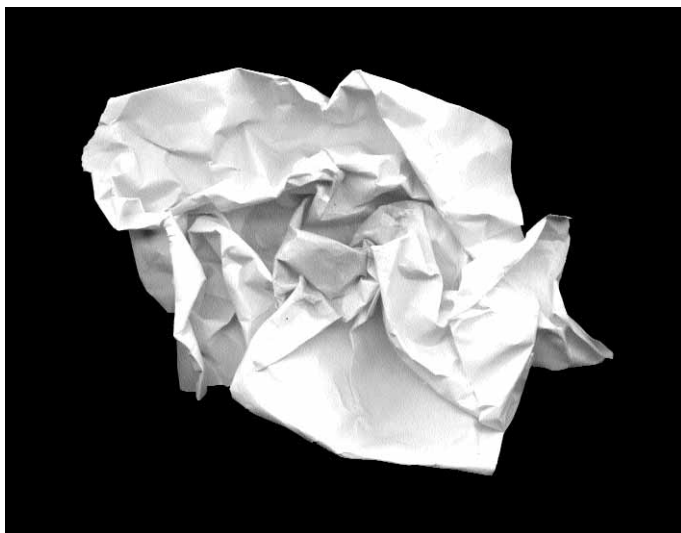
W wyżej opisany sposób zamordowano 1200 pacjentów z Zakładu Psychiatrycznego w Dziekanecie.

Od listopada 1939 r. do czerwca 1940 r. hitlerowskie władze okupacyjne uśmierciły łącznie około 4000 pacjentów szpitali psychiatrycznych, w tym kilkadziesiąt dzieci. Uśmiercano nie tylko psychicznie chorych, ale także starców i dzieci ociemniałe z Miejskich Zakładów Opiekuńczych.

Akcję zagłady pacjentów zakładów psychiatrycznych władze niemieckie utrzymywały w ścisłej tajemnicy. Dyrekcje tych zakładów informowały zgłaszające się rodziny, że pacjent umarł i został pochowany albo został przewieziony do innego zakładu psychiatrycznego. Celem zatarcia śladów popełnionych zbrodni w 1943 r. i w 1944 r. hitlerowcy z „SS – Sonderkommando Lange”, przy pomocy grupy więźniów żydowskich i polskich, odkopali zwłoki pomordowanych i spalili je.

Oddziałowa Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Poznaniu prowadzi śledztwo w sprawie mordu dokonanego na pacjentach szpitali psychiatrycznych w Gnieźnie, Kochanówce koło Łodzi, w Warcie oraz mordu na pacjentach Zakładu Specjalnego w Bojanowie i z Oddziału dla Umysłowo Chorych Szpitala Miejskiego w Poznaniu.

Materiały dotyczące pacjentów innych szpitali psychiatrycznych, zakładów dla upośledzonych i domów opieki na terenie byłego Kraju Warty (w Kościanie, Gostyninie, Owińskach, Osiecznej, Śremie) wyłączono do odrębnych postępowań i zawieszono, z uwagą na przekazanie wybranych dokumentów do centralnej Instytucji Badania Zbrodni Narodowosocjalistycznych Zarządów Wymiaru Sprawiedliwości Krajów Związkowych Republiki Federalnej Niemiec w Ludwigsburgu, z wnioskami o ściganie sprawców zbrodni.



# ŁĄCZENIE RODZIN MIĘDZY POLSKĄ A NIEMCAMI W LATACH PIĘĆDZIESIĄTYCH

**Po zakończeniu akcji masowych wysiedleń polskie władze państwowe uznały, że w Polsce nie ma już Niemców. Tymczasem rzeczywistość daleko odbiegała od urzędowego optymizmu. Wbrew składanym publicznie deklaracjom, na terenie państwa polskiego pozostała znacząca grupa osób niemieckiego pochodzenia.**

Byli to między innymi robotnicy zatrzymani w polskich zakładach pracy, często wbrew zarządzeniom władz państwowych, godzących się na pozostawienie w Polsce jedynie wybitnych fachowców lub osób wykonujących takie zawody, w których brakowało Polaków. Razem z pracownikami zostawały w Polsce ich rodziny. Ponadto wielu Niemców nie wyjechało ze względu na zły stan zdrowia. Wreszcie część osób posiadających obywatelstwo niemieckie nie chciała opuścić stron rodzinnych, deklarowała więc gotowość przyjęcia polskiego obywatelstwa. Jednak pod koniec lat czterdziestych i w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych postanowili podjąć starania o wyjazd. Także wielu pozytywnie zweryfikowanych autochtonów w tym czasie zdecydowało się na emigrację. Liczba chętnych do wyjazdu była więc dość znaczna. W nowej rzeczywistości okazało się to nie takie łatwe.

Władze państwowe były zdania, że w Polsce nie ma już Niemców. Przerwanie akcji wyjazdowej miało doprowadzić do stabilizacji ludnościowej na ziemiach zachodnich i północnych. Powstanie dwóch państw niemieckich także skomplikowało sytuację, a ponadto kwestia ta nie zależała wyłącznie od polskich władz. Starania o umożliwienie wyjazdu z Polski pewnej części ludności niemieckiej stały się doskonałym argumentem propagandowym dla władz Niemieckiej Republiki Demokratycznej, która mogła w ten sposób występować jako jedyny obrońca tej grupy ludności. Niemiecka inicjatywa spotkała się więc z pozytywnym przyjęciem w Polsce. Gen. Jakub Prawin – szef Polskiej Misji Wojskowej w Berlinie – poparł te działania, podkreślając, że zgoda władz polskich na wyjazdy Niemców ułatwi „naszym przyjaciółom niemieckim pracę polityczną”.

Podjęto więc rozmowy, w których strona NRD-owska zadeklarowała gotowość przyjęcia około 130 tys. Niemców, taką ich liczbę podała strona polska. Dla wzmocnienia efektu propagandowego postulowano, by część wyjeżdżających udała się do Republiki Federalnej Niemiec. Ostateczne porozumienie w tej kwestii podpisano 2 stycznia 1950 r. Ustaleniem szczegółów akcji zajęła się powołana w tym celu specjalna komisja polsko-niemiecka. W toku obrad ustalono, jakie grupy osób zostaną objęte akcją. Zgodę na wyjazd miały otrzymać osoby posiadające obywatelstwo niemieckie oraz osoby deklarujące narodowość niemiecką przed 1939 r., a także przybyłe na tereny dzisiejszej Polski podczas wojny. W pierwszej kolejności miały wyjeżdżać osoby mające rodziny

w NRD, a na końcu ci, którzy nie mieli krewnych za granicą. Strona polska deklarowała przy tym liberalne podejście do kwestii wywożonego mienia.

Akcja miała być zorganizowana podobnie jak wysiedlenia. Z punktów zbiorczych w Gdyni, Wrocławiu i Głubczycach co czwarty dzień miały wyjeżdżać transporty. Tych prostych założeń nie udało się jednak wprowadzić w życie, na organizacji akcji zaciężyła bowiem atmosfera okresu stalinowskiego. Szwankował proces zawiadamiania zainteresowanych o możliwości wyjazdu. Polacy nie godzili się na prowadzenie akcji propagandowej, zachęcającej do wyjazdu. Zainteresowani mieli być powiadamiani o zakwalifikowaniu do wyjazdu drogą administracyjną lub przez swych polskich pracodawców. W celu przyspieszenia akcji strona polska postulowała rezygnację z wiz, na co jednak nie zgodziła się strona niemiecka.

Początkowo zakładano, że wyjazdy będą dobrowolne, jednak w ocenie Polaków niewielka liczba chętnych do wyjazdu nie pozwoliłaby kontynuować akcji. Zgodnie z umową wyjeżdżać miały osoby wyrażające taką wolę, nie wykluczano jednak także przymusu. Polityczna zgoda na wyjazdy nie oznaczała likwidacji wszystkich problemów z tym związanych. Poważny opór pojawił się w terenie, dotyczyło to zwłaszcza dużych pracodawców, zatrudniających pracowników niemieckich. Należały do nich między innymi Państwowe Gospodarstwa Rolne na ziemiach zachodnich. Sytuację dodatkowo komplikował termin organizacji transportów, latem następowało bowiem spiętrzenie prac polowych. Władze wojewódzkie zalecały wstrzymanie organizacji wyjazdów pracowników PGR, a nawet zatrudnienie w nich Niemców pracujących u osób prywatnych. Sugerowano więc, by akcją objąć przede wszystkim miasta, i to głównie starców, kobiety i dzieci.

W pierwszym roku obowiązywania umowy z Polski wyjechało ponad 60 tys. osób. Przewidziano kontynuowanie akcji w roku następnym, jednak w związku z zakończeniem masowych wysiedleń rozwiązano Państwowy Urząd Repatriacyjny i akcję miały organizować Prezydium Wojewódzkich Rad Narodowych i Państwowe Biuro Podróży „Orbis”. Zakończenie tego etapu wyjazdów nastąpiło 7 kwietnia 1951 r., od 20 lutego 1950 do 7 kwietnia 1951 r. wyjechało łącznie 75 757 osób. W ocenie władz polskich możliwości masowej emigracji zostały w ten sposób wyczerpane. Nie zamknęło to jednak szans wyjazdu Niemców z Polski. Zgodnie z uchwałą Prezydium Rządu dalsze wyjazdy miały się odbywać na podstawie indywidualnych zezwoleń. Decyzje podejmował Zespół II w Prezydium Rady Ministrów, w porozumieniu z Ministerstwem Bezpieczeństwa Publicznego. O wyjazd mogli się starać Niemcy nie mający w Polsce źródła utrzymania, osoby starające się o połączenie z rodziną, samotne dzieci, a tylko w wyjątkowych wypadkach osoby nie mające bliskich krewnych za granicą.

Wbrew ocenie władz zainteresowanie wyjazdem było znaczne, już do sierpnia 1951 r. złożono blisko 25 tys. podań. Zmianie uległo jednak nastawienie władz partyjnych, które uznawały, że akcja wyjazdowa podtrzymuje atmosferę tymczasowości na ziemiach zachodnich. Sugerowano więc ograniczenie liczby indywidualnych zezwoleń na wyjazd do kilkuset rocznie. Zalecenia centrali zostały właściwie zrozumiane przez „teren” i liczba wniosków znacząco zmalała. Zaniepokojona tym strona NRD-owska sugerowała, by wrócić do poprzedniej praktyki udzielania zezwoleń wyjazdowych. Akcja wyjazdowa trwała do 1954 r., większość wyjeżdżających udawała się przy tym do NRD. W listopadzie 1954 r. obie strony uznały, że akcja łączenia rodzin została właściwie zakończona. W jej drugiej fazie (9 lutego 1952–24 grudnia 1954 r.) wyjechało łącznie 10 425 osób. Był to

więc znaczący spadek w porównaniu z pierwszym okresem. Łącznie w latach 1949–1954 wyjechało z Polski około 100 tys. Niemców.

Tymczasem rzeczywistość odbiegała od urzędowego optymizmu. W czasie akcji wydawania dowodów osobistych okazało się, że około 160 tys. osób zadeklarowało narodowość niemiecką. Duża część tak zwanych autochtonów także odmówiła przyjęcia dowodów, sądząc, że w ten sposób zamyka sobie drogę do emigracji z Polski. Wnioski o zgodę na wyjazd napływały więc nadal. Ponieważ władze polskie praktycznie nie udzielały pozwoleń na wyjazdy do RFN, rodziny w Niemczech zaczęły starać się o umożliwienie wyjazdu ich bliskim. Sprawa nabrała znacznego przyspieszenia po rozpoczęciu rozmów między Polską i Niemieckim Czerwonym Krzyżem (Polska i Republika Federalna Niemiec nie utrzymywały oficjalnych stosunków dyplomatycznych). Pierwsze kontakty nastąpiły już w 1952 r., kiedy to przedstawiciele NCK pojawili się w Polskiej Misji Wojskowej w Berlinie. Strona polska nie udzieliła jednak żadnych wyjaśnień, co zamroziło problem na kilka lat. Przeciwko wznowieniu akcji wyjazdowej protestowały władze terenowe, zwłaszcza Katowic, Opola i Olsztyna. Obawiano się, że Polskę będą chcieli opuścić autochtoni, co utrudni stabilizację ludności na ziemiach zachodnich.

W odpowiedzi strona niemiecka zastosowała szantaż ekonomiczny. W kwietniu 1954 r. wstrzymano wydawanie koncesji eksportowych na eksport do Polski. Sugerowano przy tym, że ograniczenia będą cofnięte w momencie zmiany polityki wyjazdowej w Polsce. Nacisk okazał się skuteczny. Stronie niemieckiej zasugerowano, że jej delegacja handlowa będzie mogła poruszyć kwestię wyjazdów w czasie pobytu w Polsce. W efekcie kilkaset osób mogło wyjechać na Zachód.

Przełom w kwestii wyjazdowej nastąpił jednak dopiero w okresie odwilży w Polsce. W nowych warunkach i w zmienionej atmosferze rozmowy prowadziły delegacje PCK i NCK. Już ustne porozumienie pozwoliło na rozpoczęcie organizowania wyjazdów. Strona niemiecka przekazała listę obejmującą około 9500 nazwisk. Lokalne komisje traktowały napływające wnioski raczej życzliwie. Biuro Polityczne PZPR podjęło nawet stosowną uchwałę, sugerując, by wnioski rozpatrywać pozytywnie, w pierwszej kolejności wysyłać osoby stare, samotne i niezdolne do pracy. Do końca 1955 r. wyjechało kilkanaście tysięcy osób. Przyspieszenie akcji nastąpiło po przełomie październikowym w Polsce. Władze polskie były nawet skłonne rozszerzyć jej zakres, kwalifikując do wyjazdu także osoby mające w RFN dalszą rodzinę. Przy okazji zastanawiano się nad przymusowym wysiedleniem osób uznanych za „nosicieli rewizjonizmu”, szkodzących stabilizacji ludnościowej na ziemiach zachodnich i północnych.

Liberalizm centrali spowodował, że władze lokalne na ogół pozytywnie opiniowały napływające wnioski. Nie przestrzegano nawet ustalonych wcześniej kryteriów wyjazdowych, kwalifikując do wyjazdu nawet całe rodziny, przy czym jedynym argumentem podanym w uzasadnieniu wniosku mogła być nawet deklaracja nieznanomości języka polskiego. Szczególnie dowolnie stosowano kryteria wyjazdowe w Szczecinie, podejrzewano nawet, że w grę mogła wchodzić korupcja. Do wyjazdu kwalifikowano bowiem nawet pełne rodziny polskie. Kontrola wykazała, że 60 proc. wniosków zakwalifikowanych pozytywnie nie odpowiadało ustalonym centralnie kryteriom. Wyjątkowa łatwość otrzymywania decyzji pozytywnej powodowała, że na teren województwa szczecińskiego przeprowadzały się osoby z innych regionów. Zdarzało się, że rozpatrywano wnioski osób, które nie zdążyły formalnie się zameldować. W opinii urzędników szczebla wojewódzkiego zgoda na wyjazd dużej liczby osób miała rozwiązać w sposób ostateczny

kwestię mniejszości niemieckiej. Dość powszechny był więc pogląd, iż należy zgodzić się na to, że „kto chce – niech wyjeżdża”.

W dużej mierze akcja wyjazdowa na tym etapie nie miała już charakteru łączenia rodzin, lecz emigracji, i to na masową skalę. W radach narodowych złożono bowiem około 40 tys. wniosków dotyczących 130 tys. osób, i liczba ta stale rosła. Zaplanowaną na 1958 r. liczbę 90 tys. wyjeżdżających przekroczono już w maju. W niektórych regionach zapanowała wręcz psychoza wyjazdowa. Zjawisko pogłębiał swoisty kompleks osamotnienia – wyjeżdżały osoby, które początkowo nie planowały tego, lecz okazywało się, że byłyby jedynymi, które pozostały. Postanowiono więc na szczeblu centralnym, by wyjazdy zakończyć. Ostatni transport do RFN wyjechał 16 lutego 1959 r. Łącznie w latach pięćdziesiątych do RFN udało się ponad 240 tys. osób.



Liberalizacja kryteriów wyjazdowych wobec osób udających się do RFN spowodowała, że także strona NRD-owska rozpoczęła starania o wznowienie transportów ludności z Polski. Wypominano przy tym stronie polskiej, że ta szczególna przychylność w stosunku do RFN pozwala kanclerzowi RFN Konradowi Adenauerowi występować w roli jedyne go przedstawiciela interesów całego narodu niemieckiego. NRD także rozpoczęła rozmowy ze stroną polską. Wicepremier NRD Walter Ulbricht zadeklarował zainteresowanie natychmiastowym rozpoczęciem drugiej fazy akcji łączenia rodzin. Postulat ten spotkał się z przychylnością strony polskiej.

Rozmowy delegacji obu państw zakończyły się podpisaniem porozumienia. Polityka NRD różniła się jednak znacznie od praktyki stosowanej przez stronę zachodnioniemiecką, prowadziła ona bowiem akcję, opierając się na przygotowanych wcześniej własnych listach imiennych. Włączenie do transportów osób nie figurujących na nich było z reguły odrzucane (podczas gdy RFN przyjmowała wszystkich). Zawarcie porozumienia pozwoliło na podjęcie starań o organizację wyjazdów. Strona niemiecka rozpoczęła rejestrację i tak zwaną paszportyzację Niemców deklarujących gotowość wyjazdu. Jednak mimo wsparcia władz polskich akcja szła opornie. Winą za taki stan rzeczy obarczono „imperialistyczne i rewizjonistyczne koła Niemiec Zachodnich, które poprzez propagandę i rozsyłanie dowodów przynależności narodowej wzbudzały w Niemczech i autochtonach negatywny stosunek do działań NRD”. Sugerowano wręcz podjęcie środków administracyjnych, mających powstrzymać migrację ludności „z obozu socjalistycznego do kapitalistycznego”.

Tymczasem większość Niemców w Polsce uważała, że państwo niemieckie to RFN, i tam chciała się udać. Zgoda na rejestrację czy przyjęcie paszportu mogła, jak głosiła plotka, oznaczać konieczność pozostania w Polsce, na co miałyby wyrazić zgodę władze NRD. Liczba chętnych deklarujących gotowość udania się do NRD nie przekraczała kilku procent. W trzech pierwszych kwartałach 1958 r. na ogólną liczbę ponad 85 tys. wyjeżdżających, do NRD chciały wyjechać tylko 992 osoby.

Wyjazdy ludności niemieckiej z Polski w latach pięćdziesiątych odbywały się w szczególnych warunkach. Po początkowym okresie entuzjazmu wyraźnie osłabło ich tempo. Dopiero przemiany polityczne w październiku 1956 r. przyspieszyły i zintensyfikowały wyjazdy. Błędy popełnione przez polskie władze w połączeniu z liberalną polityką imigracyjną RFN spowodowały, że większość wyjeżdżających Niemców deklarowała chęć

**PRAWO I HISTORIA** wyjazdu do Niemiec Zachodnich. Nie bez znaczenia był w tym przypadku mit „cudu gospodarczego” oraz doniesienia o krwawym stłumieniu powstania robotników berlińskich w 1953 r. i zastrzeniu kursu politycznego w NRD.

Skala wyjazdów chyba przeraziła polskie kierownictwo partyjne. Początkowo zakładano optymistycznie, że po zakończeniu akcji masowych wysiedleń problem niemiecki w Polsce stanie się marginalny. Liczebność mniejszości niemieckiej oceniano na kilkadziesiąt tysięcy. Tymczasem rzeczywistość daleko odbiegała od urzędowych danych. W latach pięćdziesiątych wyjechało w zorganizowanych transportach do obu państw niemieckich ponad 350 tys. osób. Napływ dalszych wniosków zahamowano tylko dlatego, że oficjalnie wykluczono możliwość opuszczenia Polski przez osoby deklarujące swe niemieckie pochodzenie. O tym, że teza o braku mniejszości niemieckiej w Polsce była fałszywa, najlepiej świadczą późniejsze lata.



Friedrichstrasse, przejście graniczne między wschodnią i zachodnią częścią Berlina



# POZA STEREOTYPEM. POLACY I NIEMCY NA DOLNYM ŚLĄSKU 1945–1947

**Przez wiele po wojnie lat jedyną formą opisu stosunków polsko-niemieckich na Dolnym Śląsku w pierwszych powojennych latach były dwa ścierające się mity – mit heroicznego powrotu do macierzy piastowskich Ziem Odzyskanych i mit „wypędzenia”.**

Jak to zwykle bywa, oba mity – polski i niemiecki – zawierały ziarno prawdy. Rzeczywistość lat 1945–1947 była jednak bardziej skomplikowana. Przede wszystkim zaś była, mimo wszystko, rzeczywistością normalnego życia, nie tylko obok siebie, ale często wbrew odium wzajemnej nieufności i wręcz nienawiści, także wymuszonej realiami współpracy.

## **Początek tragedii**

Przez pierwsze lata wojny Dolny Śląsk, wraz z Wrocławiem, pozostawał praktycznie najbezpieczniejszym regionem Rzeszy, znajdował się bowiem poza zasięgiem alianckiego lotnictwa. Nie tylko przenoszono tu znaczną część produkcji zbrojeniowej, lecz także ewakuowano ludność z bardziej zagrożonych obszarów. Dlatego pod koniec wojny liczba mieszkańców Dolnego Śląska znacznie wzrosła (w 1944 r. ludność Wrocławia przekroczyła milion osób). W tym czasie nikt z ówczesnych ani przyszłych mieszkańców tej ziemi nie przypuszczał jeszcze, jak głębokie zmiany przyniesie kolejny rok.

W styczniu 1945 r. ruszyła wielka ofensywa wojsk sowieckich, która już po miesiącu dotarła na Dolny Śląsk. W obliczu zagrożenia niemieckie dowództwo podjęło zbrodniczą w skutkach decyzję ewakuacji ludności Wrocławia. Setki tysięcy ludzi wyruszyły na południe, w kierunku Sudetów. To była surowa zima i owa głównie piesza wędrówka przyniosła tysiące ofiar. Los pozostałych mieszkańców stolicy Dolnego Śląska okazał się niewiele lepszy. W zamienionym w twierdzę mieście znosić musieli nie tylko huraganowe ataki oblegających wojsk, lecz także szaleństwo fanatycznych obrońców. Jego wystarczającym przykładem jest wielotygodniowa praca tysięcy wrocławian nad budową lotniska na obecnym Placu Grunwaldzkim. Kosztem setek ofiar wyburzono cały kwartał miasta, tylko po to, by już po kapitulacji Rzeszy mógł z tak utworzonego pasa startowego wystartować jeden jedyny samolot...



## Fakty dokonane

Konferencja jattańska, aczkolwiek w jej ustaleniach znalazła się zapowiedź zmiany zachodnich granic Polski, nie sprecyzowała jednak dokładnego ich przebiegu ani losów zamieszkującej byłe obszary niemieckiej ludności. W tej sytuacji komuniści polscy, mimo wszelkich prognoz i szacunków, wskazujących na brak rezerw ludnościowych wystarczających do objęcia tak dużego obszaru, zdecydowali się na realizację metodą faktów dokonanych najdalej idącego projektu – granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej. W kwietniu w ślad za frontem ruszyły Grupy Operacyjne Rządu Tymczasowego, próbujące tworzyć administrację polską na zajmowanych terenach. Również w kwietniu proklamowano, w dużej mierze spontaniczną i niekontrolowaną w pierwszym etapie, akcję przesiedlenia ludności polskiej na Dolny Śląsk, która nasiliła się po zakończeniu działań wojennych.

Z kolei po zakończeniu wojny na Dolny Śląsk i do samego Wrocławia powracać zaczęły dziesiątki tysięcy uchodźców, którzy ewakuowali się na początku roku. Pierwszą, „dziką” próbę wysiedlenia części ludności niemieckiej, głównie z pasa przygranicznego, podjęto już w czerwcu 1945 r. Dokonywało jej Wojsko Polskie, była ona nieprzygotowana i nieskoordynowana. Często jej przebieg był brutalny – nie pozostawiano zbyt wiele czasu na spakowanie się, ludność wypędzano pieszo. Akcja ta, oprócz strat propagandowych, okazała się także nieskuteczna – większość wysiedlonych wróciła do domu po kilku tygodniach. Unormowanie sytuacji prawnej (aczkolwiek nie całkowite) ziem zachodnich przyniosła konferencja poczdamska, która uregulowała także zasady transferu ludności niemieckiej do alianckich stref okupacyjnych.

## Pierwsze miesiące

Napływająca powoli na Dolny Śląsk ludność polska (także robotnicy przymusowi, którzy zdecydowali się pozostać) przez wiele miesięcy stanowiła zdecydowaną mniejszość. Tworzyło to wiele paradoksalnych sytuacji, w których to na przykład burmistrz miasteczka był Polakiem, ale już jego sekretarka, podobnie jak i reszta personelu, była Niemką. W pierwszych miesiącach dla odróżnienia Polacy nosili białe opaski, później oznaczano nimi Niemców. Czasami dochodziło do odwrócenia dotychczasowych ról – były robotnik przymusowy stawał się zarządcą gospodarstwa, spychając „bauera” i jego rodzinę do roli parobków.

Sytuacja wymuszała powszednią współpracę – chociażby przy utrzymaniu porządku w mieście, wypieku chleba czy zaopatrzeniu w podstawowe produkty. Bardzo często zdarzało się, iż jedynym lekarzem w okolicy był Niemiec leczący – chociażby w przypadku epidemii tyfusu – chorych obu narodowości.

## Dziki Zachód

Większość Polaków przybywających na Dolny Śląsk nie wierzyła w trwałość przynależności tych ziem do Polski. Nieustannie krążyły pogłoski o powrocie ziem zachodnich do Niemiec, bądź to w wyniku porozumie-

nia mocarstw, bądź wskutek nowej wojny. O ile jednak przesiedleńcy z Kresów nie mieli specjalnego wyboru, o tyle osadnicy z Polski centralnej często traktowali swój pobyt jako okazję do szybkiego wzbogacenia się. Takie podejście oznaczało rabunek mienia poniemieckiego, dokonywany indywidualnie i zbiorowo. Szabrownicy niekiedy podawali „patriotyczne” uzasadnienie swojego postępowania – skoro Polska ma i tak utracić te tereny, należy z nich wcześniej wywieźć co się da. Także wiele przedsiębiorstw i instytucji państwowych traktowało Dolny Śląsk jako swoiste Eldorado, w którym poszukiwano niezbędnych maszyn, urządzeń biurowych, mebli, dzieł sztuki czy też bibliotek. W połączeniu z nasilającym się pospolitym bandytyzmem oraz postawą wojsk sowieckich wytworzyło to sytuację, w której najpopularniejszym określeniem tych ziem stał się „Dziki Zachód”.

## Sowieci

Wkraczające na Dolny Śląsk oddziały Armii Czerwonej „wyszumiały się” już na terenach Górnego Śląska, toteż nie dochodziło tu do tak rażących aktów bezsensownego okrucieństwa, jak chociażby w styczniu 1945 r. w Bytomiu. Nie znaczy to oczywiście, iż obyło się bez gwałtów, morderstw i wandalizmu. Wkrótce po przejściu linii frontu rozpoczynało się planowe wywożenie dóbr, demontaż fabryk, sieci energetycznych i linii kolejowych. Proceder ten nie zakończył się nawet po formalnym przyznaniu Dolnego Śląska Polsce. Przez długi czas plagą mieszkańców tej ziemi, dawnych i nowych, była fala maruderstwa i pospolitego bandytyzmu uprawianego przez żołnierzy w sowieckich mundurach.

Niejednoznaczny był stosunek Sowietów do obu grup ludności – polskiej i niemieckiej. Po zajęciu danej miejscowości komendanci wojenni przekazywali przeważnie administrację w ręce Niemców, deklarujących się jako antyfaszyści. Po pojawieniu się polskich władz niejednokrotnie lokalne dowództwo sowieckie nie uznawało ich i trzeba było wielu interwencji, by zmienić ten stan rzeczy. Także w późniejszym okresie ludność polska odnosiła wrażenie, iż Sowieci faworyzują Niemców, biorą ich w obronę, gdy dochodzi do konfliktu. Ludność niemiecka pracująca w zarządzanych przez Sowietów majątkach rolnych lub zakładach przemysłowych z czasem uzyskała nieformalny, specjalny status, wyjmujący ją praktycznie spod polskiej władzy. Osoby te mogły na przykład uniknąć wysiedlenia.

## Obok siebie i razem

Napływająca od jesieni 1945 r. coraz większą falą ludność polska przez pewien czas zmuszona była koegzystować z dotychczasowymi gospodarzami Dolnego Śląska. Bardzo często dwie rodziny – polska i niemiecka – zmuszone były mieszkać w jednym domu czy mieszkaniu. Nierzadko dochodziło przy tym do rewanzu Polaków za lata upokorzeń – spychania Niemców do roli służących, ponizania ich, odbierania majątku. Jednakże wcale nierzadko odnotowywano postawy odmienne, szczególnie częste wśród repatriantów z Kresów, którzy sami zaznali tragedii utraty „małej ojczyzny”. W stosunkowo licznych wspomnieniach

pojawiają się opisy w miarę zgodnego współżycia dwu rodzin, wzajemnej pomocy, nawiązujących się nawet nici sympatii.

Większość Niemców była zastraszona i zrezygnowana, nie można mówić zatem o poważniejszych aktach oporu. Ze względu na likwidację szkolnictwa niemieckiego w wielu miejscowościach próbowano organizować tajne nauczanie. Podtrzymywano także ducha za pomocą „szeptanej propagandy”, rozpowszechniano wiadomości zasłyszane w niemieckim radiu czy też otrzymane od rodziny przebywającej w którejś ze stref okupacyjnych. Mitem budowanym przez komunistyczną propagandę była rzekoma duża aktywność licznych oddziałów Wehrwofu. Okazuje się, że znaczna część z nich była wytworem wyobraźni funkcjonariuszy Urzędów Bezpieczeństwa, tworzących grupę zbrojną z 13–14-letnich chłopców polujących ze starą strzelbą na kuropatwy, co notabene nie przeszkodziło w skazaniu ich na wieloletnie więzienie.

### **Wysiedlenia**

Planowe wysiedlenia Niemców z Dolnego Śląska rozpoczęły się jesienią 1945 r., jednak apogeum przypadło na lata 1946–1947. Chociaż miały one charakter zorganizowany i zgodny z międzynarodowymi porozumieniami, nie znaczy to, że nie dochodziło przy tym do wielu nadużyć. Wyjeżdżających Niemców pozbawiano większości majątku, a z tego, co im pozostawiono, bardzo często byli ograbiani przez chciwych urzędników czy żołnierzy ochrony. Dla znacznej części wysiedlanych największą tragedią nie była jednak utrata majątku, lecz „małej ojczyzny”, której większość z nich miała już nigdy nie zobaczyć. Niektórzy zdobywali się na desperackie akty protestu, jak ów mieszkaniec Świdnicy, który wołał wysadzić w powietrze siebie, swój dom i rodzinę, niż wyjechać w nieznaną.

Wysiedlenia nie objęły fachowców, których wiedza była niezbędna do utrzymania ciągłości pracy fabryk czy urzędzeń komunalnych (wodociągii, elektrownie). Największe skupiska Niemców pozostały w Wałbrzychu (górnicy) oraz we Wrocławiu.

### **Powrót do normalności**

Po upadku systemu komunistycznego zmieniają się stosunki między Polakami i Niemcami, zarówno na szczeblu dyplomatycznym, jak i na poziomie zwykłych ludzi. Dziś na Dolnym Śląsku praktycznie każda miejscowość nawiązała ścisłe kontakty z organizacjami skupiającymi dawnych jej mieszkańców. Efektem tej współpracy są zarówno takie gesty, jak chociażby pomoc charytatywna przy okazji powodzi, lecz także ambitne projekty – na przykład pomysł odbudowy Teatru im. Andreasa Gryphiusa w Głogowie. Wielu mieszkańców tej ziemi coraz bardziej interesuje się niemieckim okresem jej historii, powstają liczne towarzystwa miłośników poszczególnych miast i wsi. To dzisiejsze zbliżenie zapewne jest wynikiem ogólnych procesów integracyjnych, budowy jedności europejskiej, w jakimś stopniu ma jednak swoje korzenie w pierwszych powojennych latach, które nie przekreśliły szansy na porozumienie dawnych i nowych mieszkańców Dolnego Śląska.

# NAPAŚĆ NA EWANGELIKÓW

**Silne nastroje antyniemieckie przerodziły się w wystąpienie przeciwko tym, których według stereotypowych wyobrażeń można było uznać za Niemców lub folksdojczów. Rzecz interesująca, że postępowanie funkcjonariuszy UB w tej sprawie odpowiadało temu, czego oczekiwała ludność polska.**

Na powojenne nastroje mieszkańców Łodzi i regionu oddziaływały różne czynniki. Jednym z poważnych problemów była silna nienawiść do Niemców.

Stosunek mieszkańców regionu łódzkiego w 1945 r. do Niemców i ich polskich współpracowników był jednoznacznie negatywny. Głośnemu procesowi folksdojczy Eugeniusza Delnitza, byłego polskiego sędziego, towarzyszyły duże emocje. Na organizowanych – zapewne nie bez inspiracji władz – wiecach przyjmowano rezolucje z żądaniem orzeczenia najwyższego wymiaru kary. Elementem tamtej atmosfery było również utożsamianie wyznania ewangelickiego z przynależnością do narodu niemieckiego. Na tym tle dochodziło do wielu napięć i incydentów. Jednym z nich było zajście w kaplicy ewangelickiej w Pabianicach.

29 lipca 1945 r. administrator Polskiej Parafii Ewangelickiej w Pabianicach Henryk Wendt pisał:

„W dniu dzisiejszym nabożeństwo nasze odprawiane w kaplicy Polskiej Parafii Ewangelickiej sprofanowane zostało w bolesny dla naszych uczuć religijnych sposób.

W chwili gdy wraz z wyznawcami przystępującymi do spowiedzi i Komunii Świętej przyklęknąć mieliśmy na stopniach ołtarza, pewien osobnik zbliżył się, krzycząc i gestykulując, zaczął bić i kopać zebranych przed ołtarzem, przeważnie kobiety, pchnął nawet mnie, pomimo że byłem ubrany w szaty liturgiczne; pewna niewiasta zachowywała się w podobny sposób.

Wzburzenie ogarnęło wszystkich zebranych, wkrótce pojawiła się Milicja Obywatelska i funkcjonariusze Wydziału Bezpieczeństwa legitymując mnie, a nie osobników, którzy sprofanowali nabożeństwo [...]”.

Rzecz charakterystyczna, że interweniująca milicja nie wylegitymowała i nie zatrzymała napaśników, wręcz odwrotnie: „Gdy wyżej wymieniony osobnik bił i kopał przed ołtarzem bezbronne kobiety,

jeden z obecnych, brat i syn pokrzywdzonych, Władysław Zeler, Polak ewangelik, repatriant spod Wilna, chwycił napastnika za rękę, aby zapobiec dalszym ekscesom – został on zatrzymany w Urzędzie Bezpieczeństwa pod niesłusznym zarzutem bicia napastnika”.

Dwa dni po zajęciach decyzją łódzkiej władz bezpieczeństwa zabroniono aż do odwołania jakichkolwiek praktyk religijnych we wspomnianej kaplicy. Szef łódzkiego WUBP płk Mieczysław Moczar w piśmie z 18 października do centrali MBP tak uzasadniał swoją decyzję: „[...] w Pabianicach zamieszkuje dość dużo ewangelików, między innymi młodzież z HJ [Hitlerjugend – przyp. K.L.]. W lipcu [19]45 r. podczas odbywania się obrządków religijnych w kościele ewangelicko-augsburskim ludność miejscowa wypędziła z kościoła zebranych z okrzykami, że jeśli w dalszym ciągu będą się odbywały praktyki religijne, zdemolują kościół”.

Z wnioskiem o cofnięcie krzywdzącego ewangelików zarządzenia wystąpił dr Jan Szeruda – prezes Konsystorza Polskiego Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego. Powołując się na art. 113 Konstytucji z 1921 r. oraz Manifest PKWN, gwarantujące prawnie uznanym związkom religijnym wolność wyznania i uprawiania kultu religijnego w postaci urządzania zbiorowych i publicznych nabożeństw, oraz okólnik Ministerstwa Administracji Publicznej z 9 marca 1945 r. określający stosunek państwa do Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w Polsce, stwierdzał, że ludność wyznania ewangelickiego jest dyskryminowana. Uniemożliwia się „nam Polakom-ewangelikom w Pabianicach nie tylko urządzanie nabożeństw, ale nawet pogrzebów i spełnianie jakichkolwiek postug religijnych”. Wyrażone też zostało ubolewanie, że Polak-ewangelik zatrzymany przez UB w związku z zajęciami w kaplicy więziony był przez 9 dni, gdy osoby, „które spowodowały zajęcie i sprofanowały nasze nabożeństwo, po dziś dzień nie są indagowane”. W innym piśmie prezes Konsystorza Polskiego Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego podkreślił: „Pozwalam sobie zauważyć, że Polacy-ewangelicy parafii pabianickiej w czasie okupacji niemieckiej zadokumentowali wierność swoim przekonaniom narodowym tułaczką, cierpieniem w obozach, nawet śmiercią”.

Kto w rzeczywistości brał udział w tym sprofanowanym nabożeństwie? Polacy czy folksdojczce i w jakim języku zostało ono odprawione? W wyjaśnieniu przesłanym 29 października 1945 r. przez administratora Wendta do Departamentu Wyznaniowego Ministerstwa Administracji Publicznej w Warszawie znalazły się następujące informacje: „Nabożeństwo w kaplicy cmentarnej w Pabianicach dn[ia] 22 i 29 lipca 1945 r. odprawione zostało w języku polskim, po uprzednim porozumieniu z komendantem milicji i kierownikiem Urzędu Bezpieczeństwa w Pabianicach. Czynności w języku niemieckim w ogóle nie odprawiano.

Prosiłem w swoim czasie komendanta milicji i kierownika Urzędu Bezpieczeństwa, aby jeżeli mogą, wypowiedzieli swe obiekcje w tej sprawie. W obu analogicznych rozmowach poruszana była sprawa ewentualnego udziału Folksdeuczów [tak w oryginale – przyp. K.L.] w nabożeństwie. Komendant milicji pytał, czy życzę sobie, aby wydał zakaz udziału Folksdeuczów. Zaznaczyłem, że nikomu, bez różnicy wyznania i narodowości, nie mogę bronić wstępu na nabożeństwo. Ogłoszenia analogicznego temu, jakie wywiesili Niemcy za czasów okupacji (broniąc wstępu Polakom), nie wywieszę, lecz jeżeli władze państwowe administracji wydadzą odnośne zarządzenie i sami je wywieszą, to się temu podporządkuję. Komendant przyznał mi rację i stwierdził, że za czasów okupacji odnośne ogłoszenia na drzwiach kościołów wywieszała policja niemiecka.

Sprawa więc postawiona była wyraźnie.

Zaznaczam, że w nabożeństwie brali udział nie tylko Folksdeucze, ale też Polacy-katolicy i tej samej niedzieli, kiedy odprawione zostało w Pabianicach pierwsze ewangelickie nabożeństwo, w kościele parafialnym (nowym) rzymskokatolickim w Pabianicach dzieci Folksdeuczów przystępowały do pierwszej Komunii Św.”

Zajście w ewangelickiej kaplicy miało wyraźnie podłoże emocjonalne. Jedyne Ministerstwo Administracji Publicznej potrafiło właściwie ocenić sytuację i zdecydowanie domagało się przywrócenia ewangelikom swobody sprawowania praktyk religijnych.



ADAM DZIUROK, OBEP IPN KATOWICE

## ZA MAŁO NIEMIECCY, ZA MAŁO POLSCY

**Górnoślązacy, traktowani podczas okupacji przez władze niemieckie jako niepełnowartościowi Niemcy, już w pierwszych dniach po wojnie spotkali się z zarzutami, że ich polskość jest niedoskonała.**

Ziemie te opuściła wraz z armią niemiecką napływowa kadra urzędników z Rzeszy oraz większość najbardziej proniemiecko nastawionych Ślązaków, obawiających się represji ze strony władz sowieckich i polskich. Pozostała na Górnym Śląsku ludność bez większych obaw oczekiwała na zmianę władzy. Mieszkańcy przedwojennego województwa śląskiego nie czuli się zdrajcami narodu, gdyż wpisu na volkslistę nie traktowali jak plebiscytu narodowościowego (dochodziły do tego nawoływania biskupa śląskiego do maskowania się, nacisk władz niemieckich, czynniki psychologiczne, ekonomiczne i inne).

Dla wkraczających na te tereny żołnierzy Armii Czerwonej rozróżnienie między Ślązakiem a Niemcem nie było łatwe – istniało wśród nich zresztą przekonanie, że zajmowane ziemie zamieszkuje w zasadzie ludność niemiecka. Posłuszni zarządzeniom władz sowieckich, Ślązacy w wieku od 17 do 50 lat zgłaszali się do prac przy usuwaniu szkód wojennych. Tych, którzy się zgłosili, umieszczano w więzieniach i obozach sowieckich. Przy wydatnej pomocy funkcjonariuszy milicji i UB zatrzymywano głównie mężczyzn wpisanych na volkslistę oraz osoby narodowości niemieckiej. W punktach zbiorczych przeprowadzano selekcję, po czym część osób wysyłano do ZSRR. W ten sposób wywieziono z terenu Górnego Śląska około 30 tys. osób, które na zesłaniu wykonywały niewolniczą pracę w kopalniach, hutach, fabrykach, kamieniołomach i na roli. Tylko niewielu z nich powróciło do domu, reszta na skutek fatalnych warunków sanitarnych, głodu, braku opieki lekarskiej i wycieńczającej pracy zmarła na zesłaniu. Pozostałe po nich rodziny, szczególnie żony z dziećmi, by zapewnić sobie minimum egzystencji, musiały wyprzedawać swój, czasem bardzo skromny, dobytek. Wywózka mężczyzn była tym boleśniejsza, że w modelowej śląskiej rodzinie mężczyzna pracował i utrzymywał wszystkich, kobieta zaś zajmowała się domem.

Ludność żyła w strachu przed wywózką lub rabunkiem. Władze sowieckie nie ograniczyły się tylko do wywożenia ludzi, ale również na dużą skalę przeprowadziły akcję wywozu maszyn i wszelkiego możliwego do przetransportowania sprzętu. W Katowicach na przykład



doszczętnie ogołocoono szpital miejski, z którego zabrano między innymi sprzęt rentgenowski i materace.

Władze komunistyczne zdawały sobie sprawę, że takie postępowanie wywołuje wrogość do nowej władzy. Wojewoda Aleksander Zawadzki przestrzegał, że entuzjazm, z jakim Ślązacy witali wojska radzieckie, ustąpił jawnej wrogości, spowodowanej gwałtami, wywózką ludzi i urzędzeń, a wicewojewoda Jerzy Ziętek mówił nawet o tym, że żołnierz sowiecki stał się na Śląsku „synonimem zła”.

Władze komunistyczne rozpoczęły porządkowanie kwestii narodowościowych na terenie byłego województwa śląskiego na podstawie niemieckich volkslist. Pojawiały się głosy, że należy pozbyć się elementu wrogiego, bez wątpienia niemieckiego, czyli posiadaczy grupy I i II. Za element narodowo niepewny, chwiejny, który przy lada zmianie zaprze się swego polskiego pochodzenia i „zwiększy szeregi naszych wrogów”, uważano nawet, z pewnymi wyjątkami, również osoby z III i IV grupą volkslisty. Wojewoda Aleksander Zawadzki, z początku gorący zwolennik radykalnych rozwiązań, wkrótce złagodził swoje stanowisko i stał się rzecznikiem łagodnego podejścia do spraw narodowościowych na Górnym Śląsku. Posunął się nawet do stwierdzenia, że „kto nie żyje na Śląsku, ten problemu tego [tzn. volkslisty] nie zrozumie”. Szansę powrotu na łono polskości otrzymali reprezentanci wszystkich grup volkslisty z wyjątkiem grupy I. Wpisani do grupy III i IV musieli złożyć deklaracje wierności, a tak zwani „dwójkarze” podlegali sądowym procesom rehabilitacyjnym. Właściwie wszyscy mieszkańcy Górnego Śląska zostali więc potraktowani jako element podejrzany narodowościowo. Należący do III i IV grupy volkslisty nie mogli na przykład sprawować funkcji sędziów, prokuratorów i aplikantów. Krzywdzące miejscową ludność przepisy mówiły, że ławnikami podczas procesów rehabilitacyjnych nie mogą być osoby wpisane na volkslistę. W konsekwencji niemal cała ludność rodzima Górnego Śląska została pozbawiona wpływu na przebieg selekcji narodowościowej. Osoby z II grupy volkslisty miały być, do czasu zrehabilitowania, umieszczone w obozach pracy. W połowie 1945 r. w Katowicach przebywało 14 tys. takich osób, a w Chorzowie aż 33 tys. Znaczna część ludności podlegającej rehabilitacji nie była w stanie zapłacić wysokich opłat sądowych. Stało się to przyczyną wielu tragedii i rozgoryczenia ludności, która z zalem konstatowała, że polskość można kupić. Pojawiały się też zarzuty, że sądy najpierw rozpatrują wnioski o rehabilitację ludzi bogatszych.

Na terenie tej części Górnego Śląska, która przed wojną należała do Niemiec (Bytom, Zabrze, Gliwice) i była zamieszkana przez osoby posiadające obywatelstwo niemieckie, przeprowadzono weryfikację narodowościową. Motyw ekonomiczny podczas weryfikacji prowadził czasem do tego, że wysiedlano ubogich Ślązaków, a weryfikowano zamożnych Niemców. Zdarzało się nawet, że Niemcy mówili, iż Polakiem można zostać za 5 tys. zł. Surowe i sżytywne przepisy o rehabili-

tacji prowadziły do takich paradoksów, że gdy na przełomie 1945 i 1946 r. powróciło do swoich domów około 10 tys. Ślązaków – byłych żołnierzy II Korpusu gen. Władysława Andersa – okazało się, że zostali uznani za Niemców i muszą się rehabilitować. Faktem jest, że większość z nich wcześniej służyła przymusowo w Wehrmachcie, ale po dezercji lub dostaniu się do niewoli angielskiej lub amerykańskiej zgłosili się ochotniczo do Wojska Polskiego. Wielu z nich przypisano do II grupy volkslisty, toteż mieli duże trudności w uzyskaniu pracy i brakowało im środków do życia. Zgodnie z ówczesnym prawodawstwem powinni być nawet pozbawieni majątków i osadzeni w obozach pracy, a swoją niewinność mieli udowadniać przed sądami.

Problem volkslisty jeszcze długi czas ciążył nad mieszkańcami Górnego Śląska. W listopadzie 1946 r. miejscowi kolejarze nie kryli swego rozgoryczenia faktem, że w urzędach podczas wystawiania zaświadczeń o miejscu zamieszkania odnotowuje się jeszcze grupę volkslisty. Ostatecznym zakończeniem problemu volkslisty była dopiero ustawa z 1950 r. o zniesieniu sankcji w stosunku do obywateli, którzy zgłosili swą przynależność do narodowości niemieckiej. Jak podkreślał Ziętek, odtąd nie wolno było mieszkańcom Śląska, z racji zaszerogowania ich do tej czy innej grupy niemieckiej listy narodowej, czynić żadnych zarzutów lub uważać za mniej wartościową część społeczeństwa polskiego.

Przeprowadzana na terenie Górnego Śląska akcja wysiedlania ludności niemieckiej napotykała wiele przeszkód. Rozdzielenie Polaków od Niemców nie było bowiem takie proste, jak się wydawało władzom. Starosta rybnicki w związku z akcją wysiedlenia donosił: „Znaleźć w tym wypadku granicę pomiędzy niemcem [tak w oryginale – przyp. A.D.] a polakiem [tak w oryginale – przyp. A.D.] jest trudno, tym bardziej że każdy z tej ludności włada tak dobrze językiem polskim jak też niemieckim”. W wyniku akcji wysiedleńczych do obozów dostawali się przedstawiciele wszystkich grup niemieckiej listy narodowościowej. W ramach wysiedleń w latach 1945–1946 województwo śląskie opuściło ponad 500 tys. osób narodowości niemieckiej lub za taką uznanych.

Nieprzychylnie stanowisko wobec Górnoślązaków zajmowali funkcjonariusze milicji i Urzędów Bezpieczeństwa, których kadra rekrutowała się w znacznej części z osób spoza Śląska. Brak wysokich wymagań stawianym kandydatom do pracy w organach bezpieczeństwa doprowadził do masowego napływu osób zdemoralizowanych, co miało istotny wpływ na skalę nadużyć w procesie selekcji narodowościowej. Bezprawne zatrzymanie i grabież mieszkań były na porządku dziennym. W wysoce skomplikowanej sytuacji narodowościowej na Górnym Śląsku, gdzie 95 proc. mieszkańców zostało wpisanych na volkslistę, donos sąsiada lub niejasne podejrzenie wystarczyły, by uznać kogoś za Niemca lub zdrajcę narodu i wtrącić go do więzienia lub obozu. Wielu niewinnych ludzi padło wówczas ofiarą fałszywych donosów.

Centrum Katowic w 1945 r.  
(Museum Historii Katowic)



Jeden z mieszkańców wsi niedaleko Tarnowskich Gór oskarżył innego o to, że był folksdojczem, członkiem NSDAP, nosił faszystowską odznakę i źle odnosił się do Polaków podczas okupacji. Trzej uzbrojeni osobnicy zabili rzekomego nazistę. Później okazało się, że zamordowany wcale nie był wrogiem polskości, a odznaka była odznaczeniem górniczym. W przypadku osób z II grupą folkslisty można mówić o masowej skali nadużyć. Bez oglądania się na decyzje władz prokuratorskich władze bezpieczeństwa zatrzymywały na ulicach, w domach, w zakładach pracy „dwójkarzy” i kierowały do obozów pracy. Na przykład kierownik sekcji śledczej WUBP w Katowicach aresztował bez żadnych powodów Ślązaków nawet z III grupą folkslisty i odsyłał do więzienia i obozu w Mysłowicach, przywłaszczając sobie wartościowe przedmioty złożone do depozytu przez aresztowanych. Umieszczeni w obozach, będących często dawniej filiami KL Auschwitz, doświadczali skrajnie trudnych warunków egzystencji. Dziesiątkowani przez choroby zakaźne, szczególnie przez szalejący w lecie 1945 r. tyfus, więźniowie obozów cierpieli również na skutek znęcania się funkcjonariuszy władz bezpieczeństwa. Takie przypadki odnotowano między innymi w obozach w Jaworznie, Świętochłowicach, Mysłowicach.

Na Śląsku Opolskim złą sławą cieszył się obóz w Łambinowicach, do którego skierowano między innymi wszystkich mieszkańców kilku okolicznych wiosek. Nienaruszone gospodarstwa stały się tak łakomy kęskiem, że nie brano pod uwagę tego, że wioski te określano jako polskie. Więźniowie wykorzystywani byli do pracy w licznych zakładach przemysłowych (huty, kopalnie, fabryki). W obozach przebywały tysiące ludzi uznanych za Niemców, wrogów systemu, element chwiejny i podejrzany. W sierpniu 1945 r. z obozu w Oświęcimiu wysłano list do wojewody A. Zawadzkiego rozpoczynający się słowami: „Panie Wojewodo! Polacy z obozu oświęcimskiego zwracają się ponownie z prośbą o zajęcie się ich losem. Przebywa nas w obozie 1290 osób, tak Polaków cywilnych, jak i jeńców wojennych byłej armii niemieckiej”. Komisje zwalniały osadzonych w obozach, ale często nie mieli oni do czego wracać, gdyż ich majątki były już zajęte.

Ofiarami represji aparatu ścigania stali się również działacze podziemia niepodległościowego. Było to tym boleśnieszce właśnie na terenie Śląska, gdyż osoby te należały do najbardziej patriotycznych i uświadomionych narodowo wśród społeczeństwa śląskiego. Oni również byli spychani na margines życia publicznego i społecznego.

Ważnym czynnikiem wpływającym na stosunki społeczne na Górnym Śląsku był napływ ludności z Zagłębia Dąbrowskiego, słabo uprzemysłowionych województw południowo-wschodnich oraz repatriantów z ZSRR. Nie znali oni specyfiki pogranicza polsko-niemieckiego, stąd często traktowali ludność miejscową jako niemiecką. Uważali się za Polaków lepszej kategorii i okazywali swą wyższość i przewagę. Mieszkaniec Zabrze wspomina: „Napływowi uważali nas za niższą kastę (...) oni uważali nas za Niemców. Myśmy tu byli, tu był nasz dom,

a oni przyjechali i nas obrażali”<sup>1</sup>. Bolesne dla Ślązaków było to, że ludność napływową stawiano za wzór obywateli i Polaków oraz lepiej traktowano niż rdzennych mieszkańców Śląska. Zawadzki apelował, by „nie pomiatać repatriantem”, a w chwili gdy na gospodarstwo zajęte przez repatrianta wracał poprzedni gospodarz, należało repatrianta zostawić, powracającemu zaś znaleźć nowe gospodarstwo. Repatriant nie mógł zostać przeniesiony na gospodarstwo gorsze. Ludność napływowa czasem tropiła Niemców nie tam, gdzie rzeczywiście mieszkali, lecz tam, gdzie była lepsza zagroda lub mieszkanie. Rodziło to wiele konfliktów między ludnością napływową a Ślązakami, z tym że koronnym argumentem przyjezdnych było to, że oni cierpieli podczas wojny, a Ślązakom żyło się wówczas dobrze.

Napływ na tereny Górnego Śląska ludności, której, w przeciwieństwie do Górnoślązaków, nie można było podejrzewać o sympatie do Niemców, spowodował, że to ona zdominowała kadry administracji państwowej, a autochtoni byli pomijani podczas obsady stanowisk. Mówi się nawet o kolonizacji wewnętrznej Górnego Śląska przez kadry urzędników z Zagłębia Dąbrowskiego. Wiele kroków władz komunistycznych miało pokazać Ślązakom, że skończyły się czasy ich samodzielności i decydowania o swoim losie. Zniesienie autonomii województwa śląskiego oraz przyłączenie kulturowo obcych Śląskowi ziem Zagłębia Dąbrowskiego były jasnymi sygnałami, w jakim kierunku będzie zmierzała polityka nowych władz. Za symptom tego trendu można uznać chyba również to, że po kilku tygodniach od powstania regionalny dziennik PPR „Trybuna Śląska” zmienił nazwę na „Trybunę Robotniczą”.

Dla Ślązaków problem stanowiła niechęć do utożsamiania się z Polską komunistyczną. Model komunistyczny sprzeczny był z tradycyjnymi wartościami całej społeczności śląskiej. Po referendum z 1946 r., w którym znaczna część Ślązaków opowiedziała się przeciw rządowi komunistycznemu, władze lokalne w ramach represji planowały rozprawić się z ludnością autochtoniczną, wykorzystując kwestię volkslisty. Chodzić mogło o powtórny selekcję narodowościową i szersze wykorzystanie ustawy o pozbawieniu obywatelstwa polskiego. Nie zrealizowano tych planów, ale za to przystąpiono do energicznej walki o nadanie polskiego charakteru ziemiom Górnego Śląska.

Prowadzona polityka repolonizacji zmierzała do całkowitego wyeliminowania śladów niemieckiej przeszłości na Górnym Śląsku, choć przecież stanowiła ona integralną część kultury śląskiej. W wyniku akcji repolonizacyjnej likwidowano napisy niemieckie nawet z cmentarzy, ścigano właścicieli lokali, w których zespoły grały przeboje niemieckie, a za używanie podstawek pod piwo z niemieckimi napisami karano grzywną. W atmosferze walki z przejawami niemczyzny jeden z napływowych mieszkańców Zabrze domagał się głośno zmiany nazwy kopalni „Guido”, a gdy spotkał się z ironicznymi uśmiechami, napisał list do Ministerstwa Ziemi Odzyskanych, by przystano do Zabrze choć jednego stuprocentowego Polaka, aby zajął się tym skandalem.



Największy nacisk położono na zmianę niemiecko brzmiących imion i nazwisk. Według stanu na 1 stycznia 1948 r. aż u 99 408 mieszkańców Górnego Śląska przeprowadzono zmianę lub „sprostowanie pisowni” nazwisk i imion. Opornym groziły surowe sankcje, od zwolnienia z pracy do osadzenia w obozie pracy łącznie. Nie wszyscy dostosowali się do zarządzeń władz; na liście księży, którzy nie zmienili imion i nazwisk, znalazł się na przykład przyszły biskup katowicki Herbert Bednorz. Władze wojewódzkie chciały nawet, by ci księża, którzy posługują się „gwarą zachwaszczoną germanizmami” i ci, którzy nie zmienili niemiecko brzmiących imion (na przykład Robert, Wilhelm) lub nazwisk, nie mieli prawa nauczania religii w szkołach, gdyż ich nastawienie działa demoralizująco na młodzież. Do symbolu degradacji kulturowej Śląska urosła decyzja o przemianowaniu nazwy Katowic na Stalinogród (1953–1956).

Ślązacy musieli się pożegnać z tym, co stanowiło przez wieki ich tradycję: gwara śląska była wyśmiewana jako „nieudolnie naśladowana polszczyzna” z naleciałościami niemieckimi (Niemcy nazywali ją „mową wasserpolską”), przyznawanie się do wiary i praktyki religijnej nie były mile widziane przez władze komunistyczne, więzi regionalne i rodzinne miały ustępować więzom narodowym. Traktowanie kultury i gwary śląskiej jako podrzędnej doprowadziło do tego, że niektórzy wstydzi się tego, iż są Ślązakami i nie mówią piękną polszczyzną, czuli się napiętnowani i gorsi. Można nawet mówić o powstaniu „kompleksu Ślązaka” – człowieka traktowanego z nieufnością, wpędzanego w poczucie winy w związku z volkslistą i skażeniem niemieckością. Posługiwanie się przez wielu mieszkańców jedynie gwarą śląską ograniczało ich szanse edu-



W dymach Śląska (Muzeum Historii Katowic)



cyjne. W pierwszych latach po wojnie nie zgodzono się na utworzenie uniwersytetu w Katowicach, który był szansą na wykształcenie elit spośród ludności rodzimej. Mogło to wpłynąć na zmianę struktury społecznej Górnego Śląska, gdzie dominowała ludność robotnicza, a osób z wyższym wykształceniem była znikoma liczba.

W konsekwencji ludność miejscowa była zdana na łaskę elit przybyłych z innych stron kraju. W celu zrobienia kariery należało kamufłować śląskość, odchodzić od wartości, które przekazywano w rodzinach. Zjawisko to nasiliło się w latach 1949–1955, kiedy społeczeństwu starano się narzucić jeden model kultury – socjalistycznej. Ślązacy mieli zostać wykorzeni z wszystkiego, co było im bliskie, i jako nieokreślona masa, łatwa do kierowania, stanowić tanią i zdyscyplinowaną siłę roboczą.

Istotnym czynnikiem wpływającym na stosunek Ślązaków do systemu komunistycznego była sytuacja Kościoła w PRL. Głęboka religijność oraz szczególna pozycja księży katolickich w społeczności śląskiej powodowały, że represję wobec Kościoła (usuwanie religii ze szkół, aresztowania księży) zrażały Ślązaków do władz. Mocny głos biskupa katowickiego Stanisława Adamskiego w obronie praw Kościoła stanowił oparcie dla katolików. Sam biskup wystąpił również w obronie autochtonów, rozsyłając do urzędów broszurę: *Pogląd na rozwój sprawy narodowościowej w Województwie Śląskim w czasie okupacji niemieckiej*. Głośne stały się wystąpienia gorącego obrońcy Ślązaków, ks. Rudolfa Adamczyka, na posiedzeniu WRN w Katowicach, w których apelował o zaprzestanie represji wobec „dwójkarzy”, uproszczenie akcji rehabilitacyjnej oraz podnosił problem usuwania ludzi z mieszkań.

Wystąpienia przedstawicieli Kościoła wpłynęły z pewnością na złagodzenie surowego traktowania ludności rodzimej. Argumentacja ta trafiała również do wojewody, który w lipcu 1945 r. zaczął postrzegać sprawę śląską już w zupełnie inny sposób niż na początku. Stwierdził wówczas między innymi, że folksdojczów ze Śląska nie można uważać za zdrajców w rodzaju folksdojczów z Warszawy.

Wynikiem presji polonizacyjnej i praktyk dyskryminacyjnych było pogłębianie się poczucia izolacji Ślązaków i wzrost sympatii wobec niemieckości. Konsekwencją tego stały się masowe wyjazdy Ślązaków do Niemiec. Atmosfera podejrzliwości wobec Ślązaków była obecna jeszcze w połowie lat pięćdziesiątych, kiedy władze bezpieczeństwa uważały, że ludność autochtoniczna w pierwszych latach po wojnie jedynie pozorowała lojalność w stosunku do Polski Ludowej, by gdzieś od 1949 r. zachowywać się coraz bardziej butnie i okazywać swoje prawdziwe – niemieckie oblicze.

<sup>1</sup> Cyt. za: W. Błasiak, *Śląska zbiorowość regionalna i jej kultura w latach 1945–1956* [w:] M. Błaszczak-Wacławik, W. Basiak, T. Nawrocki, *Górny Śląsk – szczególnie przypadek kulturowy*, Warszawa 1999, s. 81.

ADAM DZIUROK, OBEP IPN KATOWICE

# ZA NIEMIECKOŚĆ, ZA VOLKSLISTĘ, ZA NIC. OBÓZ PRACY W ŚWIĘTOCHŁOWICACH

**„Mąż mój zabrany został w dniu 25 lutego 1945 r. z Chorzowa na 10 dni do pracy, a już 8 miesięcy minęło, jak siedzi w Obozie Pracy w Zgodzie. Dlaczego? Wiem tylko tyle, że jest niewinnie zabrany. Zaznaczam, że mąż mój był zawsze porządnym człowiekiem i spokojnym i nikomu nie był na przeszkodzie”.**

W podobny sposób rozpoczynały się dziesiątki listów z prośbą o zwolnienie z obozu w Świętochłowicach Zgodzie. Po przejściu frontu przez Górny Śląsk władze sowieckie i polskie w poniemieckich obozach umieszczaly osoby narodowości niemieckiej, folksdojczów oraz podejrzanych o wrogi stosunek do nowego ustroju. Na przykład w oświęcimskim obozie koncentracyjnym osadzono wielu Górnoszlązaków przed wywiezieniem do ZSRR. Do dużych obozów – dawniej filii KL Auschwitz – w Jaworznie i Mysłowicach kierowano setki zatrzymanych mieszkańców Górnego Śląska, których „winą” często było jedynie posiadanie II grupy volkslisty. W atmosferze nagonki na Niemców rolę kozła ofiarnego odgrywały nawet kobiety z dziećmi czy kilkunastoletni chłopcy. Zatargi sąsiedzkie, rodzinne czy też chęć zagarnięcia majątku były często powodem donosów.

Obóz leżący naprzeciwko zakładów „Zgoda” w Świętochłowicach, noszący oficjalną nazwę „Obóz Pracy w Świętochłowicach”, był w czasie wojny filią obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Po Niemcach pozostały: podwójne ogrodzenie z drutu kolczastego pod napięciem, wieże strażnicze, baraki dla więźniów oraz budynek dla personelu. Jeszcze w lutym 1945 r. skierowano do obozu pierwsze osoby zatrzymane przez funkcjonariuszy Urzędów Bezpieczeństwa, milicji oraz NKWD.

W początkowym okresie obozem kierowały dwie osoby przybyłe na Górny Śląsk z województwa lubelskiego: 20-letni Aleksy Krut oraz 26-letni Salomon Morel. Od czerwca 1945 r. obozem kierował już samodzielnie Salomon Morel. Jego rodzice oraz brat zginęli w czasie

wojny, jak sam pisze, z rąk „faszystów niemieckich”, przy pomocy policji granatowej. Salomon Morel działał w partyzantce komunistycznej, a w połowie 1944 r. podjął pracę jako strażnik w oślawionym więzieniu na Zamku w Lublinie. Stamtąd został karnie przeniesiony do więzienia w Tarnobrzegu. W lutym 1945 r. wyjechał z grupą operacyjną na Górną Śląsk i został naczelnikiem obozu w Świętochłowicach koło Katowic. Specyfika narodowościowa Górnego Śląska była mu zupełnie obca. Nie rozumiał, że tereny pogranicza były zamieszkane zarówno przez Niemców, Polaków, jak i sporą grupę indyferentnych pod względem narodowościowym Górnoszlązaków, a niemal wszyscy mieszkańcy zostali wpisani na volkslistę. Niektórzy w brutalnym postępowaniu Morela z więźniami dostrzegają właśnie chęć zemsty na Niemcach i renegatach (jakimi byli z pewnością dla niego folksdojczy).

Wśród więźniów obozu przytłaczającą większość stanowili mieszkańcy byłego województwa śląskiego oraz obywatele Trzeciej Rzeszy (tzw. Reichsdeutsche), ale znaleźli się tam również Polacy z centralnej Polski oraz Austriacy, Rumuni, Czesi, Francuzi, Jugosłowianie, Amerykanka, Holender i Belg. Wraz z rodzicami do obozu trafiły nawet dzieci. Do obozu kierowano osoby bez żadnych sankcji prokuratorskich, jedynie na podstawie decyzji władz bezpieczeństwa. Jak ocenia jeden z przebywających w obozie, więźniowie „w większości byli prostymi, solidnymi Górnoszlązakami, którzy uczciwie pracowali i troszczyli się o swoje rodziny”. Starano się jednak przekonać mieszkańców Śląska, że do obozu trafiają wyłącznie Niemcy oraz zniechęceni aktywiści ruchu nazistowskiego. Gdy na początku marca 1945 r. osoby zatrzymane na terenie Katowic uformowano w kolumny i popędzono w kierunku Świętochłowic, na czele każdej kolumny postawiono człowieka z flagą nazistowską.

W obozie panował straszny głód. Całodzienne wyżywienie to czarna kawa zbożowa oraz około 125 gramów chleba wydawanego rano i wieczorem, natomiast na obiad rozdawano zupę z buraków pastewnych. Dochodziło do tego, że więźniowie żywili się trawą. Niektórym więźniom rodziny przysyłały paczki, jednak często konfiskowali je strażnicy. Warunki sanitarno-bytowe również były katastrofalne. Więźniowie spali po trzech na jednej pryczy, bez sienników i koców, w ubraniach, w których zostali doprowadzeni do obozu. W krótkim czasie plagą obozu stały się wszy, pluskwy i szczury. Wkrótce pojawiły się także groźne choroby epidemiczne: czerwonka i tyfus.

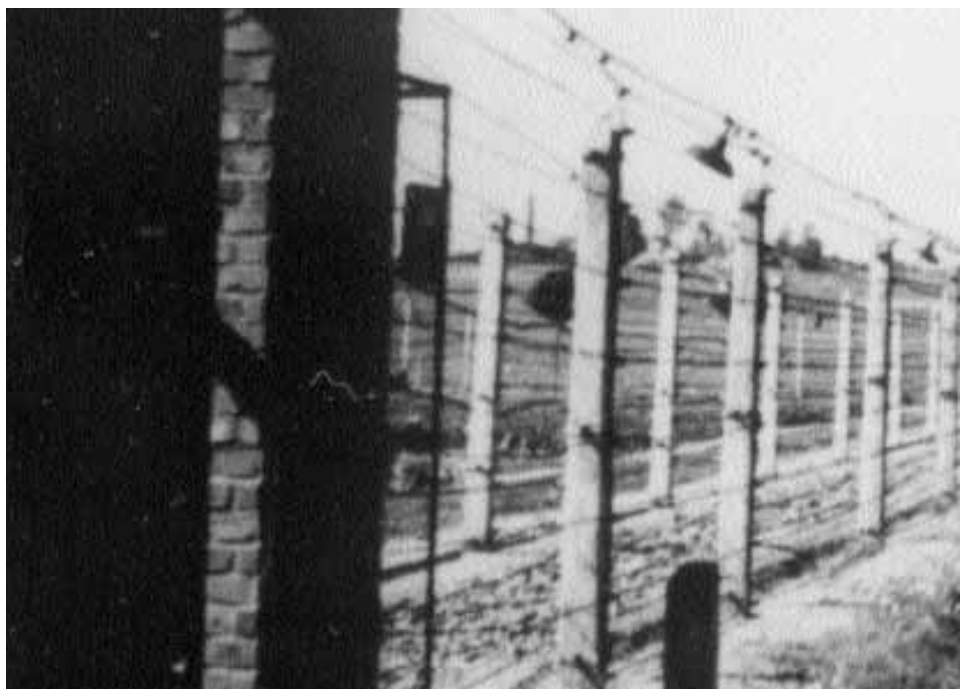
Najtragiczniejszym okresem w dziejach obozu w Świętochłowicach Zgodzie było lato 1945 r., kiedy szalała epidemia tyfusu. Fatalne warunki sanitarne oraz brak właściwej opieki medycznej, a także to, że nie przeprowadzono odwszenia i nie izolowano chorych, spowodowały masowe zgony więźniów. W okresie największego nasilenia epidemii odnotowywano kilkadziesiąt zgonów dziennie. Kierując się liczbą do-

kumentów, należy przyjąć, że oficjalna liczba zmarłych w obozie wynosi 1855. Zwłoki wywożono z obozu nocami wozem drabiniastym i grzebano w grobach masowych na dwóch cmentarzach katolickich oraz ewangelickim w Świętochłowicach. Na ceremoniach pogrzebowych nakazywano więźniom pracującym przy pochówku śpiewać przyśpiewkę: „Jużeś zdecht, jużeś zdecht, jużeś wydał swój ostatni dech”.

Pierwsze kroki zmierzające do powstrzymania zarazy podjęto dopiero wtedy, gdy objęta ona cały obóz. Przyjechała komisja lekarska i więźniowie zostali zaszczepieni, a baraki zdezynfekowano.

Tyfus i inne choroby nie były jedyną przyczyną śmierci więźniów. Kilka osób strażnicy zastrzelili podczas próby ucieczki z obozu. Nieustalona liczba więźniów została zakażona przez funkcjonariuszy obozu. Najdotkliwsze represje dotknęły osadzonych w baraku nr 7 (zwanym „brunatnym barakiem”) przeznaczonym dla podejrzanych o przynależność do NSDAP i innych organizacji nazistowskich. Więźniów zmuszano do wznoszenia okrzyków „Heil Hitler” i śpiewania nazistowskich pieśni. Co noc dobiegały stamtąd krzyki i jęki maltretowanych. Ofiarami najcięższych tortur byli chłopcy podejrzani o przynależność do Hitlerjugend oraz dziewczęta z organizacji BDM (Związek Niemieckich Dziewcząt). W katowaniu uczestniczył sam naczelnik Morel, który bił więźniów pięściami lub gumową pałką. Przy pomocy swej obstawy rzucał więźniów jednego na drugiego, tworząc pięć, sześć warstw złożonych z ludzi. Była to tak zwana piramida; leżących najniżej wynoszono później do ambulatorium z powodu ciężkich obrażeń. Jeszcze gorsze było bicie ciężkim taborem. W noc kapitulacji Niemiec przegoniono więźniów pod prysznice, a następnie na plac obozowy, gdzie po leżących na ziemi i zziębniętych deptała cała grupa strażników.

Skrajnie trudne warunki obozowe, głód i tortury powodowały zafalenie psychiczne osadzonych w „Zgodzie”. Więźniowie wielokrotnie wspominali o przypadkach rzucania się uwięzionych na druty pod napięciem. Kilka osób popełniło samobójstwo.





Wielu więźniów wysyłano do pracy w pobliskich kopalniach i hutach. Część z nich wracała na noc do obozu „Zgoda”, reszta mieszkała w przyzakładowych podobozach. Choć oficjalnie świętochłowski obóz nosił nazwę obozu pracy, to spełniał również funkcję obozu karnego. Więźniowie baraku 7 nie byli wykorzystywani do żadnych prac ani na terenie obozu, ani też poza nim, dla nich był to więc obóz karny, choć oczywiście nikt z nich nie został skazany wyrokiem sądowym.

Na przełomie października i listopada 1945 r. obóz wizytowała komisja, która zwolniła prawie wszystkich więźniów. Musieli przed tym podpisać zobowiązanie, że pod groźbą kary więzienia nie będą z nikim rozmawiać o tym, co przeżyli w obozie.

„Jo podpisał, że my tu nie byli bici, że my tam dobrze mieli, to jo musiał podpisać, i w ogóle na ten temat z nikim nie rozmawiać. Ale ja wam powiem, że ja już piekła się nie boję, bo piekło na pewno nie jest gorsze niż to, co jo tam przeżył”.

Ostatecznie świętochłowski obóz przestał funkcjonować w listopadzie 1945 r., gdyż, jak wspomina Morel, przestał już być potrzebny. W obozie więziono 6 tys. osób, z których niemal jedna trzecia nie przeżyła pobytu.

Przez wiele lat obóz pracy w Świętochłowicach Zgodzie żył jedynie w pamięci więźniów oraz ich rodzin. Milczenie przerwał dopiero list z grudnia 1989 r., który do ministra sprawiedliwości wysłała Erna Kołodziejczyk z Radlina. Pytała, w jaki sposób zginął i gdzie jest pochowany jej ojciec. Posiadała jedynie zawiadomienie o zgonie ojca z obozu w Świętochłowicach. Pismo skierowano do Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce (później Okręgowej Komisji Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu), która w lutym 1991 r. rozpoczęła śledztwo w sprawie świętochłowskiego obozu. Obecnie prowadzone jest ono przez IPN – Oddziałową Komisję Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Katowicach.

Obóz w Świętochłowicach



PIOTR SEMKÓW, OBEP IPN GDAŃSK

## KASZUBI W PRL

**Wzajemne stosunki między władzą powojennej Polski a ludnością kaszubską cechowała głęboka nieufność. Spowodowane to było nie tylko bolesnymi doświadczeniami z przeszłości, lecz również praktycznymi przejawami wprowadzanej w życie komunistycznej ideologii.**

Korzeni tej postawy należy szukać nie tylko w okresie zaborów, kiedy to przedstawiciel administracji rządowej był jednocześnie kojarzony z obcym, lecz również w powojennej rzeczywistości. Trudno było zatrudnić Kaszubów do budowy aparatu władzy. Dla nich władza po prostu była – należało ją tolerować, szanować, ale jednocześnie pozostawać obok niej, wyczekiwać.

Wiosną 1945 r. przez ziemię kaszubską przetoczył się front. W myśl umowy z 26 lipca 1944 r. między PKWN a rządem radzieckim wojskowe władze radzieckie uzyskały jurysdykcję nad polską ludnością w strefie działań wojennych. Po przesunięciu się frontu pojawiła się administracja polska.

Jednym z elementów mających wpływ na podkreślanie odrębności autochtonów Pomorza i wzajemne relacje między Kaszubami a władzą cywilną był napływ ludności spowodowany wojną i przesunięciem granic Polski. Przedstawiciele aparatu nowej władzy nie rozumieli miejscowych problemów, co dodatkowo potęgowało poczucie niepewności autochtonów i obawy związane między innymi z próbami rozliczeń za postawy wobec Polski i polskości podczas wojny.

Taka postawa stanowiła argument dla tych, którzy żywili niechęć do autochtonów. Silnie zaznaczone poczucie odrębności narodowej traktowane było przez czynniki partyjne jako „burżuazyjny nacjonalizm”, z którym należało walczyć. Z jednej strony władze partyjne zalecały unikać zrażania Kaszubów, między innymi przez powstrzymanie się od kolektywizowania wsi. Z drugiej zaś w planie pracy Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Gdańsku na wrzesień 1949 r. znalazł się posulat, by zlikwidować Muzeum Kaszubskie w Kartuzach i utworzyć na jego miejsce dział kaszubski w muzeum w Gdańsku.

Według powojennych władz autochtonów na Pomorzu obciążały podejrzenia o nielojalność w stosunku do Polski i polskości podczas wojny. Koronnym argumentem potwierdzającym te podejrzenia miała być akcja przyjmowania Niemieckiej Listy Narodowościowej (volkslisty), a prowadzona po wojnie akcja weryfikacji ludności miała potwierdzić lub obalić podejrzenia. W dodatku odrębność językowa ludności kaszubskiej (język kaszubski nie jest gwarą, lecz językiem nale-





Starzy rybacy kaszubscy, okres międzywojenny

żącym do grupy lechickiej języków słowiańskich) i związana z tym bariera komunikacyjna stawiała pod znakiem zapytania próby utworzenia jednolitej narodowościowo nowej Polski.

Kolejnym czynnikiem mającym wpływ na działalność władz wobec autochtonów pomorskich były hasła o walce klasowej, jakże chętnie podkreślanej przez aktyw partyjny. Próbowano nauczyć miejscową ludność rozpoznawania „gbura” – wyzyskiwacza chłopów.

Dla aparatu państwowego wygodne było prezentowanie folkloru regionalnego związanego z rocznicami partyjno-państwowymi. Jednocześnie starano się eliminować z prasy codziennej o szerszym zasięgu informacje o zlotach młodzieży kaszubskiej, unikano też słów: „Kaszub” i „kaszubszczyzna”, które zdaniem władz kojarzyły się z separatyzmem. Dopiero po 1956 r. sytuacja uległa pewnej zmianie na lepsze.

28 października 1956 r. w Gdyni powstało Zrzeszenie Kaszubskie, dwa miesiące później odbył się I Walny Zjazd Zrzeszenia Kaszubskiego (zostało ono przekształcone później w Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie). Na czele Zrzeszenia stanął były komendant Tajnej Organizacji Wojskowej „Gryf Pomorski” – Aleksander Arendt, po wojnie komendant MO w Kartuzach.

Celem działalności Zrzeszenia było:

- rozbudowanie szerokiej inicjatywy społecznej dla wszechstronnego rozwoju Kaszub i wiązania ich z budownictwem polskiej drogi do socjalizmu,

- stworzenie ludności kaszubskiej warunków pełnego włączenia się w całość życia państwowego Polski Ludowej,

- popieranie gospodarczego rozwoju Kaszub,

- rozwijanie wszelkich wartości kultury kaszubskiej ze szczególnym uwzględnieniem literatury,

- szerzenie wśród ludu znajomości jego kultury duchowej i materialnej oraz zamiłowania do niej,

- stworzenie młodzieży kaszubskiej najlepszych warunków kształcenia się i pełnego rozwoju; współdziałanie z innymi organizacjami regionalnymi i instytucjami działającymi na terenie Pomorza.

Jednak w dalszym ciągu wśród działaczy partyjnych żywe pozostawały stereotypy kojarzące ruch kaszubski z dążeniami separatystycznymi. Jednym z „podejrzanych” był Lech Bądkowski – współzałożyciel Zrzeszenia, który jako autor *Pomorskiej myśli politycznej* (Londyn 1945) r. podkreślając realizm pomorskiej myśli politycznej, kładł nacisk na integrację mieszkańców „Wielkiego Pomorza” z „Narodem i Państwem Polskim” i współpracę z innymi narodami słowiańskimi, zaś w pracy *O krajowości* (1946) zawarł postulaty decentralizacji państwa i oparcia go na „samorządach krajowych”.

# DZIECI ZAMOJSZCZYZNY

**Problematyka „Dzieci Zamojszczyzny” ściśle wiąże się z planami niemieckimi wobec ludności polskiej, dotyczącymi wysiedleń oraz germanizacji „wartościowych rasowo” dzieci. Jak czytamy w dokumentach programowych czy propagandowych Trzeciej Rzeszy, przeznaczeniem Polaków miała być wyniszczająca biologicznie ciężka praca fizyczna oraz biologiczna i cywilizacyjna zagłada. Dotyczyło to również dzieci i młodzieży.**

Zaplanowaniem i wykonaniem tej polityki miało się zająć wiele urzędów i instytucji, wśród nich naczelną rolę odgrywały Urząd Rasowo-Polityczny (Rassenpolitisches Amt), Komisarz Rzeszy do spraw Umacniania Niemczyzny, Główny Urząd Rasy i Osadnictwa SS.

Polskie dzieci były wysiedlane już w 1939 r., z obszarów wcielonych do Rzeszy (tak zwany Kraj Warty, Pomorze i Śląsk). W większości wraz z rodzinami, ale często również oddzielone od rodziców, narażone na potężny wstrząs psychiczny, a nierzadko i śmierć, wywożone były na teren Generalnego Gubernatorstwa. Szybko okazało się, że wysiedlenia były jedynie wstępem do planowanej przez hitlerowców akcji germanizacji dzieci polskich, odpowiadających wymogom rasowym. Sposób realizacji tego przedsięwzięcia został sprecyzowany w programie narodowościowym Urzędu Rasowo-Politycznego z 1939 r. oraz w memoriale Himmlera z 1940 r., w zarządzeniu 67/1. Zapowiadał on coroczne badania dzieci polskich z GG w wieku od 6 do 10 lat. Wszystkie, które odpowiadały wymogom rasowym, w świetle tego dokumentu miano wysiedlić do Rzeszy i zgermanizować.

## Kradzione dzieci

Akcję germanizacyjną można podzielić na dwa etapy. Pierwszy, trwający do połowy 1941 r., określano jako „powtórne niemieczenie”, mające na celu odzyskanie niemieckich, w przekonaniu hitlerowców, dzieci zamieszkujących przeważnie Śląsk. W drugim okresie, gdy straty Niemiec na frontach drugiej wojny światowej zaczęły gwałtownie wzrastać, przystąpiono do masowego „rabunku” dzieci bez względu na ich pochodzenie, a określanych jako „dzieci nadające się do niemieczenia”.

Akcję germanizacyjną przeprowadzano na różne sposoby. Inaczej postępowano na ziemiach wcielonych do Rzeszy, inaczej na terenie Generalnego Gubernatorstwa. Na Śląsku germanizacja dzieci





Pacyfikacja wsi Bartłogi, były powiat Puławy

następowała automatycznie. Nie przeprowadzono badań rasowych, ponieważ ludność Śląska uważana była za etnicznie niemiecką. W przytułkach, do których trafiały dzieci, angażowano niemiecki personel lub zakwaterowywano niemieckie dzieci, co miało przyspieszyć proces wynarodowienia. Dzieci, które trafiały do niemieckich rodzin, izolowano od środowiska polskiego. W Kraju Warty i na Pomorzu typowano dzieci nadające się do zniemczenia drogą selekcji rasowej. Te, które miały cechy nordyckie, wysyłano w głąb Rzeszy. Szczególnie interesowano się tymi, które znajdowały się w zakładach opiekuńczych, ponieważ pozbawione były związków rodzinnych.

W 1941 r. polityka germanizacji objęła również tereny GG. Miały jej pośrednio służyć masowe wysiedlenia. Największą z takich akcji Niemcy zorganizowali na Zamojszczyźnie. Jej wykonanie przebywający w Zamościu Heinrich Himmler powierzył Odillo Globocnikowi – dowódcy SS i policji na dystrykt lubelski. Plan przewidywał wysiedlenie z Lubelszczyzny (przede wszystkim Zamojszczyzny) Polaków i zasiedlenie tych ziem przez Niemców i folksdojczów przybyłych z Rumunii, Jugosławii, ZSRR i innych krajów. W tym celu zorganizowano w Zamościu Zamiejscowy Oddział Centrali Przesiedleńczej w Łodzi.

Wstępem do właściwej akcji były wysiedlenia siedmiu wiosek położonych wokół Zamościa w listopadzie 1941 r. 28 listopada 1942 r. Niemcy przystąpili do rozpoczęcia masowych wysiedleń Zamojszczyzny, które trwały do sierpnia 1943 r. Ludność z wysiedlanych wsi przewożono do obozów przejściowych w Zamościu i Zwierzyńcu, gdzie po



kilkudniowym pobycie dzieci siłą odbierane matkom poddawano badaniom rasowym i na tej podstawie dzielono je na cztery grupy: do pierwszej i drugiej zaliczano dzieci mające cechy nordyckie. Około 4,5 tys. wyselekcjonowanych w ten sposób dzieci wywieziono do Rzeszy, część z nich czasowo przebywała w tak zwanych domach wychowawczych (na przykład Bruczkowie, Gnieźnie, Kaliszu i innych), mieszczących się jeszcze na terenach ziem polskich. Od momentu zabrania dzieci miejsce ich pobytu było tajemnicą i nie zezwalano im na utrzymywanie żadnych kontaktów z rodzinami. Do trzeciej grupy zaliczano te, które nie odznaczały się cechami nordyckimi, ale mogły pracować na rzecz Rzeszy. Czwarta grupa to dzieci nie przedstawiające żadnej wartości dla okupanta (głównie chore i ułomne).

### **Głód, strach, śmierć**

Warunki w obozach przejściowych urgały wszelkim zasadom: nieogrzewane baraki, głodowe racje żywnościowe – dzieci masowo zapadały na groźne choroby lub umierały (na przykład w obozie w Zamościu w okresie od 7 grudnia 1942 r. do 12 kwietnia 1943 r. zmarło 199 dzieci). Początkowo nie udzielano im żadnej pomocy medycznej, a później była ona daleko niewystarczająca. Wstrząsające są relacje ówczesnych ośmio-, dziesięciolatków, które siłą odrywane od rodziców, nierzadko były świadkami ich śmierci, a same pozbawione następnie opieki i troski, narażone na okrucieństwa ze strony strażników obozowych (w pamięci więźniów obozu przejściowego w Zamościu utkwiła sylwetka zastępcy komendanta obozu SS-Unterscharführera Artura Schutza, nazywanego przez dzieci „Ne” – ten był bokser zawodowy dopuszczał się szczególnie okrutnych tortur i osobiście zabił wielu więźniów, zarówno dorosłych, jak i dzieci), doznawały ogromnego wstrząsu psychicznego. Strach, przerażenie i niepewność wywarły trwały wpływ na ich psychikę, powodując w wielu wypadkach nieodwracalne zmiany i straty. Z obozów przejściowych dzieci wywożono specjalnymi transportami w różne rejony GG, a następnie umieszczano w tak zwanych „wsiach rentowych”; część z nich trafiła do obozów koncentracyjnych w Oświęcimiu i na Majdanku. Większość transportów zorganizowana była w okresie zimowym. W jednym wagonie umieszczano około setki dzieci. Brakowało żywności, a często również świeżej wody, wiele dzieci umierało (na przykład w transporcie do Pilawy w lutym 1943 r. zmarło około 500 dzieci, a 22 dzieci w transporcie do Siedlec). Wiele z nich zmarło już po dotarciu transportu do miejsca przeznaczenia, mimo opieki, jaką zostały otoczone przez miejscową ludność. Część dzieci z wysiedlonych zamojskich wsi wraz z rodzicami trafiła do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Większość z nich zginęła uśmiercona zastrzykami z fenolu. W dokumentach niemieckich jako oficjalną przyczynę zgonu podawano najczęściej zapalenie płuc. Od 1943 r., wskutek przepełnienia obozów w Zamościu i Zwierzyńcu, wysiedlaną ludność umieszczano w obozie





Zwłoki dziecka zamordowanego podczas akcji pacyfikacyjnej w okolicach Szczepieszyna

w Lublinie przy ul. Krochmalnej oraz w Budzynie (powiat Kraśnik); matki wraz z dziećmi najczęściej w obozie koncentracyjnym na Majdanku. Jak podają źródła, w krótkim czasie znaczna część z nich zmarła, a część zginęła w komorach gazowych.

### Na ratunek

Dzieci i młodzież w okresie okupacji były właściwie bezbronne. Nasuwa się więc pytanie, czy polskie organizacje podziemne, społeczeństwo w ogóle, były świadome grożącego im niebezpieczeństwa i podejmowały jakiegokolwiek działania. Można śmiało postawić tezę, że jak na warunki wojny i okupacji, uczyniono wiele dla przeciwdziałania planom okupanta.

Z dokumentów Armii Krajowej wynika, że w pełni orientowano się w działaniach niemieckich, o czym systematycznie informowano rząd na obczyźnie oraz społeczeństwo okupowanego kraju (liczba meldunków gwałtownie wzrosła w latach 1942–1943, a więc w czasie wysiedleń prowadzonych na Zamojszczyźnie). W jednym z meldunków gen. Stefan Rowecki donosił, że wysiedlenia prowadzi SS, a w ich toku dzieci do lat sześciu wywożone są do Rzeszy. W innym charakteryzuje transporty wywiezionych dzieci, pisząc o 30 transportach przybyłych do powiatu garwolińskiego, czy też innym, który trafił do Chełma, a o który „zachodzi obawa, czy nie był on wystany do znanego obozu śmierci w Sobiborze”. Tego typu przykłady można mnożyć.



Podobne podejście do tragedii Zamojszczyzny prezentowało konspiracyjne Stronnictwo Ludowe „Roch”, posiadające silną reprezentację na tym terenie. W prasie konspiracyjnej oraz w depeszach do rządu w Londynie z lat 1942–1943 problem ten pojawia się chyba najczęściej. Charakterystyczny jest na przykład tekst zamieszczony w piśmie Ludowego Związku Kobiet ze stycznia 1943 r., w którym opisano przebieg akcji wysiedleńczej, zwracając uwagę, że dzieci są siłą odrywane od matek i ładowane do wagonów kolejowych, zarówno „te maleńkie kilkumiesięczne, te «duże» 12-letnie wędrują tygodniami całymi od stacji do stacji, głodne, chore i zmarznięte”. W memoriale do Delegata Rządu stwierdzono, że dzieci lokowane są na terenie powiatów Garwolin, Siedlce i Łuków. Mówi się także o krążących plotkach, „że jeden transport młodych poszedł do Oświęcimia”.

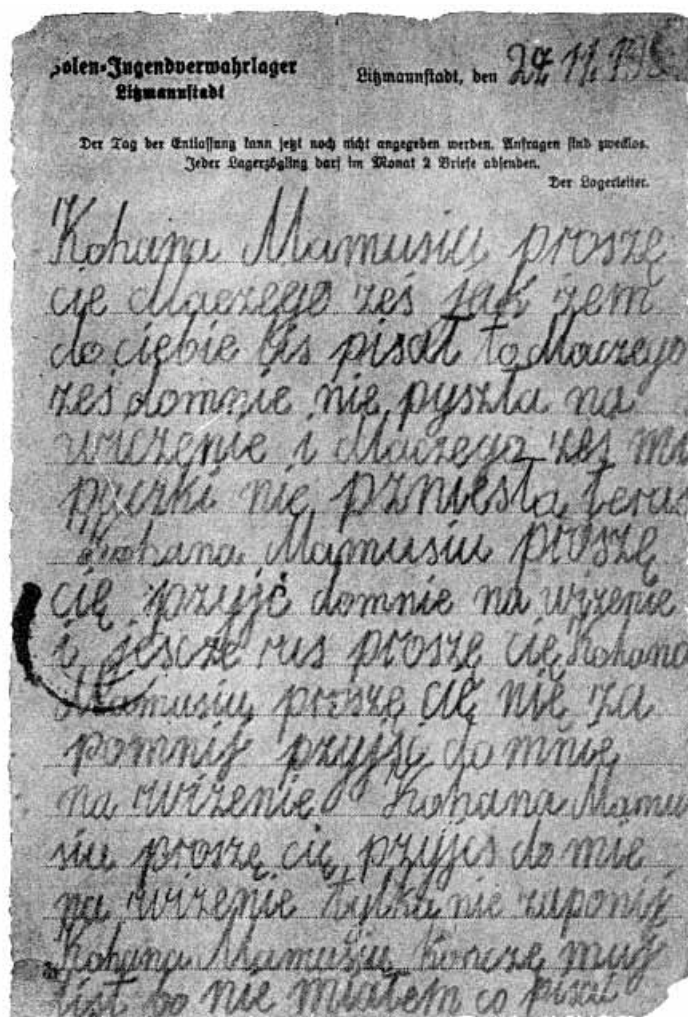
Tak szeroko zakrojona i sprawnie prowadzona akcja informowania zarówno kraju, jak i emigracji o losach dzieci przyniosła konkretne efekty. Na wieść o tragedii dzieci Zamojszczyzny społeczeństwo zareagowało natychmiast. Ludność miast, gdzie znajdowały się obozy przejściowe, starała się dostarczać żywność i lekarstwa. Wielokrotne wezwania o ratunek dla dzieci z Zamojszczyzny spowodowały, że ludność miejscowości, przez które przejeżdżały transporty, powszechnie ruszyła dzieciom na ratunek. Działania podjęta RGO oraz spontanicznie powstające komitety opiekuńcze, które udzielały dzieciom doraźnej pomocy oraz szukały dla nich schronienia i opieki. Powszechnie znana jest też postawa kolejarzy, którzy wzdłuż tras transportów oraz w miejscowościach, do których one przybywały, organizowali pomoc, informowali miejscową ludność, kiedy i gdzie pojawią się transporty. O zasięgu tych działań świadczy chociażby meldunek gen. Roweckiego z 22 grudnia 1942 r., w którym stwierdza on, że: „Postawa ludności wszędzie była taka sama jak w Warszawie: gromady kobiet czekały godzinami na dworcach w Pabianicach, Zduńskiej Woli, Sieradzu i innych, aby zaopiekować się przejeżdżającymi dziećmi”. Nierzadkie były też przypadki wykupywania dzieci z transportów i zapewniania im opieki przez dalszy okres wojny i okupacji. Część dzieci trafiła do wielu miejscowości w powiatach: łukowskim, garwolińskim, siedleckim i mińskim, gdzie znalazły opiekę.

Rozwój sytuacji na Zamojszczyźnie i eskalacja akcji wysiedleńczej były jedną z przyczyn wydania przez Komendanta Głównego AK w grudniu 1942 r. rozkazu zarządzającego akcją czynnego oporu oraz akcją dywersyjną na Lubelszczyźnie. Konsekwencją tej decyzji było wzmoczenie działalności zbrojnej podziemia na tym terenie, a następnie zahamowanie przez Niemców akcji wysiedleńczej na Zamojszczyźnie. W ramach akcji odwetowych niszczone przez Niemców wsie, dochodziło także do licznych na tych terenach potyczek i walk z wojskami okupanta. Wiosną 1943 r. Niemcy wstrzymali wysiedlenia, ale już 3 czerwca Odillo Globocnik polecił podległym sobie oddziałom „zwalczanie band”. Z rozkazu wynikało, że mężczyźni



w wieku od 15 do 45 lat powinni być przekazywani policji bezpieczeństwa, a kobiety i dzieci wykorzystywane jako siła robocza na miejscu lub wysiedlane. W praktyce od czerwca do sierpnia 1943 r. hitlerowcy przeprowadzali pacyfikacje (we wsi Sochy 1 czerwca rozstrzelano 183 osoby, w tym kobiety i dzieci, we wsi Osuchy 59 osób – to tylko nieliczne przykłady).

Z dostępnych danych wynika, że w toku trwania wysiedleń na Zamajszczyźnie ofiarą akcji padło około 30 tys. dzieci, z czego zmarło lub zginęło około 10 tys. Jeżeli chodzi o liczbę dzieci przeznaczonych do germanizacji, to na podstawie danych pochodzących z ewidencji polskich placówek opiekuńczych ustalono, że z terenu Lubelszczyzny w okresie od 7 lipca do 25 sierpnia wywieziono około 4454 dzieci w wieku od 2 do 14 lat.



List dziecka z niemieckiego obozu dla polskich dzieci w łodzi

# ARYJCZYCY W GETCIE ŁÓDZKIM

**Mimo usilnych działań okupanta nie udało się całkowicie odizolować getta łódzkiego. Granice dzielnicy zamkniętej przekraczało wielu aryjczyków, niektórzy zdecydowali się w nim pozostać.**

Największym gettem na tak zwanych ziemiach wcielonych do Rzeszy było getto łódzkie liczące około 160 tys. osób. Znaczna liczba ludności żydowskiej w „dzielnicy zamkniętej” i wysoki odsetek ludności niemieckiej w mieście determinowały specjalną politykę okupanta w stosunku do mieszkańców Łodzi. Wobec ludności nienieemieckiej zastosowano wyjątkowo surowy reżim okupacyjny, a getto starano się odseparować od reszty miasta.

Za nieprzestrzeganie zakazu utrzymywania kontaktów z gettem groziły surowe restrykcje. Jednym z czynników utrudniających kontakty z dzielnicą zamkniętą była inwigilacja sterroryzowanego środowiska łodzian przez liczną ludność niemiecką. W podobnym celu po stronie aryjskiej wyburzono większość budynków przylegających do granic getta, a w pozostałych zamurowano okna i drzwi. Getto mieściło się w najbardziej zaniedbanej części miasta, co dodatkowo utrudniało łączność tą drogą ze światem zewnętrznym.

Równie istotną rolę w niemieckich planach odizolowania getta odegrała administracja żydowska, na której czele stał komisaryczny Przełożony Starszeństwa Żydów (PSŻ) – Chaim Rumkowski, pełniący tę funkcję od 13 października 1939 r. Niemcy zapewnili mu początkowo dużą samodzielność w organizacji życia wewnętrznego getta i ograniczali się do wydawania ogólnych zarządzeń, które Rumkowski lojalnie, skrupulatnie i z nieznaną w innych gettach gorliwością wcielał w życie. Jednym z zadań było zwalczanie szmuglu i dbanie o szczelność granic dzielnicy zamkniętej. PSŻ realizował te dyrektywy przy pomocy żydowskiej Straży Porządkowej i rozbudowanej sieci konfidentów w getcie, którzy współpracowali z policją niemiecką. Skuteczność ich działania i ogólnie katastrofalne warunki bytowe w getcie pogłębiały postawy bierności jego mieszkańców, co nie sprzyjało nawiązywaniu kontaktów ze światem zewnętrznym.

Panuje przekonanie, że kontakty mieszkańców getta łódzkiego z osobami po aryjskiej stronie były wręcz niemożliwe. Nie do końca.

Pomimo surowych zakazów i podjęcia wszelkich dostępnych środków policyjnych służących izolacji getta, Żydzi utrzymywali nielegalne kontakty z ludnością polską, choć były one sporadyczne.

Jedną z form pomocy mieszkańcom getta był indywidualny przemysł żywności, który wobec katastrofalnej sytuacji aprowizacyjnej miał ogromne znaczenie. Największe nasilenie tej działalności miało miejsce w pierwszej fazie istnienia getta, będącego wówczas jeszcze terenem otwartym, i w okresie tuż po zamknięciu jego granic. Wielu Polaków zaopatrywało Żydów, przrzucając żywność w małych paczkach przez parkan. W obliczu zaostrzających się represji okupanta wobec osób kontaktujących się z gettem zmniejszyła się skala tego zjawiska.

Mieszkańcom getta pomagali znajomi i sąsiedzi z czasów przedwojennych mieszkający po stronie aryjskiej. Przerzucali żywność przez parkan w zamian za zapłatę, angażowały się w tę działalność również dzieci i młodzież. Niektórzy czynili to wielokrotnie, wykorzystując dobrą orientację w przygranicznych komórkach czy składach węgla przeoczonych podczas akcji uszczelniania getta. Część z nich współpracowała z polskim podziemiem, dostarczając mu informacji. Podobne akcje organizowali również harcerze z 13. i 18. drużyny harcerskiej. Pewne wysiłki podejmowali także polscy tramwajarze pracujący w getcie, którzy oddawali swój prowiant jego mieszkańcom.

Niektórzy przenikali do getta kuszeni wizją szybkiego zysku. Wnosili papierosy, tabakę, żywność, a wynosili tekstylia, kamienie szlachetne na sprzedaż po stronie aryjskiej. Do getta dostawali się najczęściej nocą przez parkan, otwory w murze, nierzadko przekupywano strażników, głównie folksdojczów. Zdarzało się, że przebywali tam po kilka dni. Znane są także przypadki kontaktowania się ze światem zewnętrznym przez nieliczne kanały.

Część aryjczyków zajmowała się przemytem żywności, aby choć w części uczynić nieco znośniejszą egzystencję swoich najbliższych w getcie. W interesie własnym i rodziny podejmowali się tej działalności, wykorzystując swoje koligacje i koneksje w mieście. Niestety, większość tych akcji miała swój epilog w Sądzie Specjalnym. Z jego akt wynika, że Polki wielokrotnie przekraczały granice getta i przebywały poza nim nawet kilka dni, regenerując swoje siły u krewnych lub znajomych, którzy pomagali im w zaopatrzeniu się w artykuły żywnościowe. Zdarzało się także, że werbowały one inne Polki ze strony aryjskiej do działalności szmuglerskiej, poszerzając w ten sposób krąg osób aprowizujących getto.

Pewne próby pomocy podejmowało także podziemie polskie. Próby nawiązania współpracy z ruchem oporu w getcie przez ppor. ZWZ-AK, szefa łączności Stanisława Matyskiewicza („Kos”), pracującego przy rozbudowie sieci telefonicznej w administracji getta, spełzły na niczym wobec obaw ludności żydowskiej przed krwawymi represjami i zbiorową odpowiedzialnością. Mimo to członkowie ZWZ-AK starali się w miarę swoich możliwości wspomagać mieszkańców getta.

Część z nich przebywała tam jako pracownicy transportu dostawczego, przedsiębiorstw użyteczności publicznej prowadzących konserwację instalacji i urządzeń elektrycznych, gazowniczych, telefonicznych, kanalizacyjno-wodociągowych, pracownicy przedsiębiorstw handlowych i przemysłowych zaopatrujących getto lub kooperujących z nim. Czasami udawało im się wnieść nielegalnie prowiant i lekarstwa. Przerzutów żywności do getta na stosunkowo większą skalę dokonywali pracownicy transportu dostawczego. Wykorzystywali do tego moment przeładunku towarów z wagonów kolejowych na wozy, podczas którego mieszały się polscy i żydowscy pracownicy. Jednak najczęściej próby nawiązania rozmów z mieszkańcami getta rozbiły się o nieufność do obcych i obawy prowokacji.

Żydowskie partie polityczne, podobnie jak ruch oporu w getcie, nie nawiązały kontaktów z polskim podziemiem. W tej sytuacji nie mogło być mowy o systematycznej, zorganizowanej pomocy, tym większe znaczenie miał więc indywidualny przemyt. Większość dokumentacji dotycząca tej problematyki znana jest z akt Sądu Specjalnego w Łodzi, administracji żydowskiej i niemieckiej w getcie. Dokumenty te dowodzą, że bardzo wiele prób przemytu do getta okupionych było aresztowaniem, a często egzekucją na miejscu.

Niektórzy Polacy byli zatrudnieni w getcie na stałe, ponieważ wśród ludności żydowskiej brakowało przedstawicieli pewnych zawodów, na przykład kominiarza czy rymarza. Część otrzymała mieszkanie w getcie. Polskie podziemie starało się wykorzystać ich obserwacje. Okazało się to jednak niełatwe, ponieważ władze niemieckie rozciąły nad tymi pracownikami stały nadzór.

Nieliczni Polacy pracowali w niemieckim aparacie administracji w getcie. Zdarzało się, że pomocnicy urzędników w gestapo czy szofery wykorzystywali swoją pozycję do upokarzania mieszkańców getta.

Kolejny problem to małżeństwa mieszane. Aryjczycy z tych związków, w przeciwieństwie do ludności pochodzenia żydowskiego, nie byli zmuszani do zamieszkania w gettach. Niektórzy jednak dobrowolnie przenosili się do dzielnicy zamkniętej, nie opuszczali swych bliskich. Mimo iż nie było to zjawisko częste w owych „czasach pogardy”, zasługuje jednak na uwagę.

W chwili zamknięcia getta 1 maja 1940 r. na około 160 tys. osób znajdowało się w nim 61 aryjczyków – 57 Polaków (48 kobiet, 9 mężczyzn), 2 folksdojczki, 2 Niemki. Większość z nich znalazła się w getcie z wyboru, pragnąc dzielić losy współmałżonków, dzieci i rodziny. Odrzucali tym samym możliwość rozvodu i zachowania wolności po stronie aryjskiej, godząc się na życie w niedostatku w getcie. Dopiero 8 sierpnia 1940 r. władze niemieckie wydały specjalne rozporządzenie dotyczące małżeństw mieszanych, które rozstrzygało ich status prawny – aryjczycy z tych związków mieli być traktowani w świetle prawa identycznie jak ich współmałżonkowie pochodzenia żydowskiego i przymusowo kierowani do getta wraz z dziećmi. Wcielonych



w ten sposób było jednak znacznie mniej niż przybyłych dobrowolnie w pierwszym okresie istnienia getta.

Jedynie kilku aryżczyków znalazło się w dzielnicy zamkniętej z innych powodów niż powyższy: jedna z obłożnie chorych Polek pozostała w szpitalu na terenie getta, inna Polka, chcąc uchronić się przed transportem na roboty do Niemiec, postanowiła schronić się u znajomego w getcie. Znalazły się tu również Polki pełniące od lat służbę u rodzin żydowskich, z którymi się zżyły na tyle, że postanowiły nie opuszczać ich w nieszczęściu. Tak więc więzi międzyludzkie okazywały się często silniejsze niż strach przed nieznanym.

W stosunkowo najlepszej sytuacji byli Niemcy – małżonkowie osób pochodzenia żydowskiego, którzy po udowodnieniu w gestapo swojego pochodzenia i po pozytywnej weryfikacji mogli opuścić getto. Niektórzy spośród Niemców przybyłych do Łodzi z Europy Zachodniej w październiku i listopadzie 1941 r. skorzystali z tej możliwości i po śmierci małżonka powracali do miejsca zamieszkania. Znane są jednak przypadki pozostania Niemców do końca, pomimo namów ze strony znajomych. Dla Polaków decyzja o przeprowadzce do getta była ostateczną.

Aryżczycy z getta stanowili istotne ogniwo w kontaktach ze stroną aryjską. Fakt, że procesy asymilacyjne wśród ludności żydowskiej w przedwojennej Łodzi były bardzo słabe, z pewnością wpłynęły ujemnie na owe kontakty.



Wejście do getta w Łodzi



# WILEŃSKI I NOWOGRÓDZKI OKRĘG AK W WALCE Z WŁADZĄ SOWIECKĄ 1944–1945

**7 lipca 1944 r. oddziały Armii Krajowej Okręgu Wileńskiego i Nowogródzkiego rozpoczęły operację „Ostra Brama” – akcję mającą na celu opanowanie Wilna. Po 6 dniach ciężkich zmaganiach, po włączeniu się do walki Armii Czerwonej, Wilno zostało zajęte. Skoncentrowane jednostki AK rozpoczęły, w myśl rozkazów Rządu Polskiego i Naczelnego Wodza, reorganizację, aby już jako regularna armia walczyć dalej u boku Sowietów. Jednak pozornie początkowo dobre stosunki z „aliantami naszych sojuszników” załamały się 17 lipca 1944 r.**

Tego dnia NKWD aresztowało całe kierownictwo Okręgu Wileńskiego i Nowogródzkiego, zarazem otaczając, rozbijając i aresztując zgrupowane pod Wilnem oddziały partyzanckie. Ten cios miał być, w myśl dowództwa sowieckiego, ostatecznym. Struktury konspiracyjne obu Okręgów zdołały się odbudować. Na czele Okręgu Wileńskiego, w miejsce aresztowanego pptk. Aleksandra Krzyżanowskiego „Wilka”, stanął pptk. Julian Kulikowski „Ryngraf”. Okręg Nowogródzki po pptk. Adamie Szydłowskim „Poleszuku” przejął mjr Maciej Kalenkiewicz „Kotwicz”. Także oddziały partyzanckie, wyrwawszy się częściowo z sowieckiego okrężenia, wznowiły swoją działalność.

Rozproszone oddziały szybko połączyły się, tworząc większe zgrupowania celem zwiększenia szans w ewentualnej walce z nieprzyjacielem. Początkowo istniały dwa takie oddziały: grupujące jednostki wileńskie, pod dowództwem mjr. Czesława Dębickiego „Jaremy”, i nowogródzkie, pod komendą mjr. Macieja Kalenkiewicza „Kotwicza”. Szybko jednak realia nowej okupacji wymusiły podzielenie sił partyzanckich na mniejsze części. Powstały dwa oddziały wileńskie. Pierwszy, pod kryptonimem „Wisińcza” pod dowództwem kpt. Edmunda Banasikowskiego

„Jeża” działać miał na terenie Oszmiańszczyzny, zaś oddział „Solcza” pod dowództwem por. Adama Boryczki „Tońki” w okolicach Wilna. Podobnie podzieliły teren Nowogródziny tamtejsze oddziały: powstało zgrupowanie północne (obejmujące odpowiedni obszar województwa nowogródzkiego), dowodzone przez por. Jana Borysewicza „Krysię” oraz południowe – pod komendą kpt. Stanisława Szabuni „Licha”.

Na początku sierpnia do „Jaremy” dotarły pierwsze szczegółowe wytyczne odbudowanej Komendy Okręgu. Nakazywały one wykorzystanie Puszczy Ruskiej jako tymczasowej bazy, niewdawanie się w walki z Sowietami i czekanie na dalsze rozkazy. Głównym zadaniem miała być zarówno ochrona mieszkańców wsi, jak i opieka nad uciekinierami, szukającymi w lesie schronienia przed poborem do Armii Czerwonej czy terrorem NKWD. Podobne wytyczne przyjęły oddziały nowogródzkie. Tym razem celem partyzantów stała się samoobrona, a nie walka dywersyjna z okupantem. Wykonanie tych wytycznych, wobec wielkiego nasycenia terenu jednostkami sowieckimi, było bardzo utrudnione.

### **Obława**

Już 19 sierpnia obława NKWD przeprowadzona w rejonach stacjonowania partyzantów doprowadziła do całkowitego rozbicia oddziału „Wisińcza” w majątku Borowe, 3 km od Dubicz. Ta sama obława sowiecka natknęła się na oddział nowogródzki pod dowództwem kpt. „Bustromiaka”, osłaniający sztab mjr. Kalenkiewicza w miejscowości Poddubicze (3 km od poprzedniego miejsca walki). Mimo oderwania się od nieprzyjaciela i ostrzeżenia przez ocalały oddział mjr. „Kotwiczka”, ten postanowił pozostać na miejscu. 21 sierpnia doszło do kolejnej bitwy w miejscowości Surkonty, na wschodnim skraju Puszczy Ruskiej. W jej efekcie oddział nowogródzki został całkowicie rozbity. Polegli też oficerowie sztabu komendy nowogródzkiej z mjr. Maciejem Kalenkiewiczem „Kotwiczem” na czele. Komendę nad Okręgiem Nowogródzkim przejął dotychczasowy szef sztabu, kpt. Stanisław Sędziak „Warta”. Od tego momentu oddziały nowogródzkie prowadziły już walkę samodzielnie, nawiązując sporadycznie kontakt z Okręgiem Wileńskim.

Oddział „Solcza”, jedyny ocalały z Okręgu Wileńskiego, przeniósł się do Puszczy Rudnickiej i tam oczekiwał na dalsze rozkazy. W pierwszej połowie września do oddziału dotarła łączniczka z nowymi wytycznymi. Nakazano mianowicie rozwiązać jednostkę, zamelinować broń i zapewnić bezpieczne zakonspirowanie w terenie partyzantów. Komenda Okręgu uznała za bezcelowe dalsze utrzymywanie w terenie oddziałów zbrojnych, wobec olbrzymich sił rzuconych przez władze sowieckie do likwidacji partyzantki. W tym czasie na terenie obu Okręgów działały specjalne jednostki NKWD, jednostki Armii Czerwonej oraz tak zwane „istriebitielnyje bataliony”, stworzone z miejscowej ludności jednostki pomocnicze NKWD, pełniące funkcje sił pacyfika-



Grupa żołnierzy oddziału „Olecha”, w 1945 r. (pośrodku siedzi ppor. „Olech”)



Anatol Urbanowicz „Laluś” i Jerzy Kuligowski „Góra” podczas wyjazdu do Wilna po dokumenty repatriacyjne dla żołnierzy Obwodu 49/67, kwiecień 1945 r.

cyjnych. „Solcza” została rozwiązana. Zakończył się kolejny etap historii Okręgu Wileńskiego.

Nie oznaczało to jednak końca partyzantki, gdyż oprócz zgrupowania wileńskiego i nowogródzkiego, w terenie działały jeszcze inne liczne oddziały zbrojne, próbujące szukać kontaktu z siatką konspiracyjną. Były to albo pozostałości rozbitych Brygad Partyzanckich, albo oddziały utworzone z osób „spalonych”, ukrywających się przed sowieckim terrorem.

Jednym z nich była grupa dowodzona przez ppor. Hieronima Piotrowskiego „Jura”, która działała na terenie Puszczy Nalibockiej. Inny oddział, pod komendą ppor. Mariana Plucińskiego „Mścistawa”, działał w obwodzie święciańskim. Oprócz nich wymienić by można choćby grupę pod dowództwem por. Witolda Zyndram-Kościątkowskiego „Fakira” czy liczne samoistnie powstałe oddziały, składające się z młodzieży chroniącej się przed poborem (między innymi oddział Mariana Brancewicza „Branta”). Podobnie działo się na terenie Okręgu Nowogródzkiego. Te jednostki, działające samodzielnie, stwarzały niebezpieczeństwo dla miejscowej ludności (obarczanej przez władze sowieckie odpowiedzialnością za działalność zbrojną, co prowadziło do wielu tragedii – między innymi w ciągu jednego tygodnia na Oszmiańszczyźnie rozstrzelano 157 osób). Należało więc w jakiś sposób otoczyć je opieką.

## Legalizacja

Najlepszym rozwiązaniem wydawało się rozwiązanie jednostek, przy zagwarantowaniu bezpieczeństwa ich członków. Podstawą stała się więc wzmożona akcja legalizacyjna. Istniejąca w Wilnie komórka legalizacyjna wydawała masowo dokumenty, które pozwalały uniknąć aresztowania i rozpocząć nowe życie. Jednak przekazywanie tych dokumentów przez siatkę zarazem uaktywniało ją i narażało na infiltrację NKWD. Na efekt nie trzeba było długo czekać.

W grudniu rozpoczęły się kolejne, po lipcu i sierpniu, fale aresztowań. Grudzień 1944 r. stał się dla władz sowieckich okresem intensywnych działań na rzecz całkowitego rozbicia oporu polskiego społeczeństwa. Na ulice wyszły liczne patrole, których celem było wyłapanie jak największej liczby młodych Polaków. Nie pomagały żadne dokumenty, gdyż te po prostu darto i wyrzucano. Potem taką osobę „bez dokumentów” aresztowano i zazwyczaj wysyłano na Wschód. Zaostrzyło to znacznie sytuację i doprowadziło do częściowego ograniczenia działalności polskiego podziemia. Akcja legalizacji oddziałów została więc częściowo zawieszona. W celu ratowania najbardziej zagrożonych Komenda Okręgu postanowiła zmienić po raz kolejny dotychczasową taktykę. Konspiracja i wyrabianie dokumentów już nie zapewniały bezpieczeństwa. Wiele osób znowu uciekało do lasu. Podpułkownik Kulikowski postanowił zatem stworzyć cztery oddziały partyzanckie, tak zwane Oddziały Samoobrony Ziemi Wileńskiej.

Pierwszym z nich dowodzić miał rtm. Władysław Kitowski „Grom”, „Orlicz”. Drugim oddziałem dowodził por. Witold Turonek „Tur”, „Tumry”. Oddział trzeci stworzony został na bazie działającego ciągle oddziału pod komendą ppor. Witolda Zyndram-Kościątkowskiego „Fakira”. Czwarty natomiast znalazł się pod komendą por. Jana Lisowskiego „Korsarza”.

Warto dodać, iż w terenie działały też dwa oddziały nowogródzkie pod dowództwem por. Jana Borysewicza „Krysi” oraz por. Czesława Zajączkiewicza „Ragnera”. Przełożonym tych oddziałów był Ludwik Nienartowicz „Miedzianka”, „Mazepa”, mianowany przez Komendanta Okręgu Nowogródzkiego komendantem Zgrupowań Samoobrony AK Rady Obrony Ziemi Wschodnich (takie nazewnictwo przyjęto na Nowogródczyźnie).

Oddziały te miały za zadanie podporządkowywanie sobie „dzikich” jednostek w terenie i ich stopniową legalizację. Dla osób nieufnych wobec perspektyw normalnego życia organizowano także szlak przerzutowy na zachód. Na Białostocczyźnie utworzono bazy „podchwytowe”, które miały przejmować przedzierających się partyzantów. Niewiele osób jednak skorzystało z tej drogi (zaledwie kilkanaście drobnych oddziałków). Oddziały Samoobrony walczyły więc dalej na Wileńszczyźnie i Nowogródczyźnie. Także i ta droga okazała się krótka.

## Walka trwa

NKWD zorganizowało w terenie, na podstawie uzyskanych z poprzednich aresztowań informacji, liczne obławy w celu całkowitego rozgromienia ruchu partyzanckiego. Doszło do wielu bitew i potyczek, z reguły kończących się przebicciem części okrążonego oddziału. Bodaj największa rozegrała się 2 lutego 1945 r. w Rowinach, 25 kilometrów na wschód od Nowogródka. Skoncentrowane tam zostały dwa oddziały Samoobrony pod Komendą „Orlicza” i „Tumrego” w liczbie około 150 osób. Celem koncentracji było przerzucenie obu oddziałów przez granicę na teren Okręgu Białostockiego. Wydzielony oddział Olgierda Wirgiasa „Wrzosa” przetał co prawda drogę, ale równocześnie obydwaj macierzyste oddziały zostały rozbite. Nad ranem doszło do walki ze znacznie przeważającymi liczebnie jednostkami NKWD wspomaganymi przez „istriebitielnyje bataliony”, które otoczyły wieś. Z pogromu ocalało niewielu partyzantów – 82 zostało zabitych, 25 dostało się do niewoli, reszta rozproszyła się w terenie. Ocaleli obydwaj dowódcy, którzy razem z uratowanymi żołnierzami po różnych perypetiach zostali w końcu przetrzuceni do Polski.

Dwa dni po klęsce w Rowinach, 4 lutego 1945 r., obława NKWD rozbiła częściowo trzeci oddział Samoobrony pod Komendą „Fakira”. W walce został zabity dowódca. 23 lutego tropiony nieustannie oddział pod nową komendą Włodzimierza Mikucia „Jaremy” został ostatecznie doszczętnie rozbity we wsi Ławże, gmina Turgiele.

Podobną tragedię przeżywały oddziały partyzanckie Okręgu Nowogródzkiego. 6 stycznia część skoncentrowanych oddziałów nowogródzkich pod komendą Czesława Stankiewicza „Komara” (wywodzących się ze zgrupowania „Ragnera”) została rozbita w bitwie w rejonie Wisińczy, w Puszczy Rudnickiej. Resztki zgrupowania wyginęły na przełomie lutego i marca. Także drugi oddział nowogródzki poniósł znaczne straty w walce z obławami NKWD. Między innymi 19 stycznia zgrupowane w rejonie Puszczy Nalibockiej pod dowództwem „Krysi” oddziały nowogródzkie zostały zaatakowane i częściowo rozbite przez Sowieców<sup>1</sup>. Kilka dni po wspomnianej walce, 21 stycznia, pod Kowalkami zginął dowódca oddziału por. Jan Borysewicz „Kryśia”.

Sowiecki terror nie ominął także siatki konspiracyjnej. 8 stycznia 1945 r. zatrzymany został ppłk Julian Kulikowski „Ryngraf”. Nowym Komendantem Okręgu Wileńskiego AK został niejako automatycznie dotychczasowy szef sztabu mjr Stanisław Heilman „Wileńczyk”.

## Ewakuacja

Po okresie wzmożonego terroru, pod koniec stycznia 1945 r., władza sowiecka zastosowała specyficzny manewr. Za pośrednictwem aresztowanych wcześniej oficerów AK nawiązano kontakt z polskim podziemiem. Sowieci oferowali, w zamian za ujawnienie struktur, bezpieczną ewakuację na terytorium Polski. Propozycje te jednak nie zostały przyjęte przez stronę polską. Słusznie obawiano się podstępny (manewr ten częściowo powtórzono w marcu w Warszawie, zwabiając w ten sposób w pułapkę przywódców Polskiego Państwa Podziemnego). Jedynym sukcesem strony sowieckiej było ujawnienie ostatniego w zasadzie Oddziału Samoobrony, pod dowództwem por. Jana Lisowskiego „Korsarza” (Lisowski po ujawnieniu przebywał jeszcze jakiś czas w Wilnie, a potem ślad po nim zaginął, jego żołnierze natomiast zostali deportowani na Sybir). Wobec tego Sowieci uderzyli po raz kolejny. W kwietniu, podczas kolejnej fali represji, aresztowany został mjr Heilman „Wileńczyk”. Jego miejsce zajął ppłk Antoni Olechnowicz „Pohorecki”. Funkcję Komendanta Okręgu sprawował do czerwca 1948 r. Olechnowicz rozpoczął zakrojoną na szeroką skalę ewakuację struktur konspiracyjnych obu Okręgów. Żołnierze AK weszli w skład Urzędów Repatriacyjnych i przy pomocy wileńskiej komórki legalizacyjnej rozpoczęło masowe przeczucie przez granicę żołnierzy obu Okręgów. Do sierpnia 1945 r. udało się rozwiązać większość oddziałów partyzanckich i zapewnić im bezpieczny transport.

Także Nowogródzczyzna przeżywała kryzys. Komendant Okręgu Nowogródzkiego kpt. dypl. Stanisław Sędziak „Warta” funkcję swoją sprawował do końca 1944 r. Potem przeniósł się na terytorium Polski centralnej, gdzie z czasem zaangażował się w działalność organizacji WiN. Od stycznia 1945 r. p.o. Komendantem Okręgu Nowogródzkiego AK został por. Jan Skorb „Boryna”. Natomiast od marca 1945 roku



p.o. Komendantem Okręgu Nowogródzkiego AK został Ludwik Nienartowicz „Miedzianka”, „Mazepa”. Aresztowany został przez NKGB 15 sierpnia 1945 r. Wówczas struktura akowska na tych terenach w zasadzie przestała istnieć.

Tylko niektóre oddziały, do których nie dotarł rozkaz ewakuacji, bądź które nie zamierzały opuścić Wileńszczyzny czy Nowogródzczyzny ze względów pryncypialnych (dom, rodzina), działały dłużej. Jednym z najdłużej walczących był oddział pod dowództwem por. Aleksandra Radziwonika „Olecha”. Jego bazą była Ziemia Lidzka. Dowodzenie oddziałem przejął latem 1945 r., kiedy poległ dotychczasowy dowódca Jan Urbanowicz „Laluś”. Oddział „Olecha” został rozbitý dopiero w 1949 r. – w maju w potyczce pod Rokowszczyzną koło Wasiliszek (powiat Szczuczyn) zginął dowódca wraz z 8 żołnierzami.

W sierpniu 1945 r. ostatnia wielka fala terroru doprowadziła do rozbicia reszek organizacji podziemnej. Zdecydowana większość żołnierzy i oficerów obu Okręgów znajdowała się już wtedy na terytorium Polski centralnej. Tam też zostały odtworzone struktury Okręgu Wileńskiego AK, które przetrwały do czerwca 1948 r.



Jeden z pododdziałów ppor. „Olecha” przed ziemianką, styczeń 1948 r.  
(w środku „Olech”)

<sup>1</sup> Z kotła wyrwał się wówczas między innymi por. Lech Beynar wraz z 4 oficerami i 17 partyzantami. Nie widząc sensu dalszej walki w terenie całkowicie, jak się im wydawało, opanowanym przez NKWD, oddział ten ruszył na zachód. Rozbrojony został jednak wkrótce na terytorium Białostoczczyzny przez Rosjan. Por. Beynar wcielony został w efekcie do Armii Berlinga. Wkrótce zdezerterował, trafiając ostatecznie do V Brygady mjr. „Łupaszki” na Białostoczczyźnie.

W „BIULETYNIE IPN” nr 9 (wrzesień) zamieszczone na str. 72–73 zdjęcie zostało odwrócone, zatem mjr „Łupaszka” znajduje się po lewej, a nie, jak podano w podpisie, po prawej stronie.  
Przepraszamy – Redakcja

KRZYSZTOF SZWAGRZYK, OBEP IPN WROCLAW

# ENKAWUDZISTA Z LEGITYMACJĄ SZKOLNĄ

**W październiku 1949 r. w Jeleniej Górze rozeszła się wiadomość o tajemniczym i niebezpiecznym enkawudziście terroryzującym mieszkańców miasta.**

Osobnik ten władał językiem rosyjskim i podawał się za porucznika sowieckiego kontrwywiadu. Przesłuchiwał i groził uwięzieniem w areszcie NKWD przypadkowo napotkanym osobom, przeprowadzał rewizje, osadzał w areszcie Informacji Wojskowej niewinnych ludzi, których adresy na dodatek otrzymywał od również zastraszonych urzędników magistratu. W czynnościach tych towarzyszyli mu żołnierze WP, których każdorazowo otrzymywał na swe żądanie. Aresztowali oni i doprowadzali do aresztu kolejne osoby jedynie na podstawie ustnego polecenia lejtnanta Jerzego Skorobogatowa. Jego władza nad miastem skończyła się z chwilą, gdy zastrzelił w celi przesłuchiwanego przez siebie młodego mężczyznę. Do tego momentu nikt nie odważył się sprawdzić tożsamości nieznannej postaci. Wszyscy, którym okazywał rzekomą legitymację NKWD, sparaliżowani strachem, nie dostrzegali, że trzymany w ręku szarozielony dokument o wymiarach 6 x 8 cm jest w rzeczywistości... legitymacją szkolną! Na okładce pod godłem Ukraińskiej SRR widniała, pisana dużymi literami, nazwa dokumentu „~~Учредительный Комитет~~ Народный Комисариат Освіти УРСР” [Ludowy Komisariat Oświaty USRR], umieszczono szereg dodatkowych informacji o jego właścicielu, którym był... „~~Учредитель~~ VII klasy”.

Nigdy wcześniej ani też nigdy potem na Dolnym Śląsku żadne wydarzenie nie spowodowało porównywalnej reakcji najwyższych władz wojskowego wymiaru sprawiedliwości. Nigdy też przewodniczący polskiemu sądowi oficer radziecki narodowości polskiej nie orzekł kary śmierci w stosunku do radzieckiego obywatela; kary wykonanej następnie w polskim więzieniu.

## Syn burmistrza

Urodził się 3 sierpnia 1925 r. w Łucku na Wołyniu. Tam też ukończył szkołę powszechną i rozpoczął edukację w gimnazjum. Po zajęciu miasta przez Armię Radziecką kontynuował naukę w szkole radzieckiej. Szybko został członkiem Komsomotu. Okres ten po latach wspominał słowami: „jestem do dziś niezmiernie wdzięczny władzom radzieckim, które dały mi możliwość kształcenia się i poznania tak wzniosłej idei, jaką jest ideologia marksizmu-leninizmu”. Po wkroczeniu do

Łucka wojsk niemieckich ojciec Jerzego – Paweł Skorobogatow – został mianowany burmistrzem miasta. Na stanowisku tym pozostał do chwili odwrotu Niemców. W 1947 r. został aresztowany przez UB pod zarzutem współpracy z okupantem i przekazany władzom sowieckim.

Wysokie stanowisko ojca nie uchroniło 17-letniego Jerzego od wywiezienia na roboty do Niemiec w 1942 r. Po wyzwoleniu wiosną 1945 r. wstąpił do jednostki Armii Radzieckiej stacjonującej we Wrocławiu, gdzie krótko pracował w charakterze tłumacza. Jesienią tego roku objął u boku starosty powiatowego w Jeleniej Górze – Wojciecha Tabaki – stanowisko referenta aprowizacji i handlu, pełniąc jednocześnie stanowisko wiceburmistrza Karpacza i Bierutowic. 20-letni młodzieniec z rewolucyjnym zapałem organizował „władzę ludową” na Dolnym Śląsku, tworząc komórki partyjne w zakładach pracy, organizując wiece poparcia dla polityki partii i rządu, zabezpieczał mienie poniemieckie, chroniąc je przed szabrownikami i wywozem, a w końcu tropił ludzi niezadowolonych z przemian ustrojowych w kraju. Z pobudek ideowych rozpoczął również współpracę z UB w Jeleniej Górze. Do 1949 r. pracował w nadleśnictwie Popławy koło Jeleniej Góry i w nadleśnictwie Szeroki Bór koło Pizsa, gdzie – jak donosił z dumą – zebrał dowody nadużyć na sumę 450 000 zł oraz ustalił miejsce, „w którym odbywały się spotkania nadleśniczego Zwierzyńskiego z bandą leśną, w rezultacie czego nadleśniczy został aresztowany”. Po powrocie do Jeleniej Góry został sekretarzem w tamtejszym Urzędzie Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk. Ostatnią jego wielką akcją propagandową było zorganizowanie obchodów święta 1 maja 1949 r. w Jeleniej Górze, odbywających się pod wymyślonym przez Skorobogatowa hasłem: „Niech żyje Związek Radziecki – ostoja pokoju i wolności narodów”.

### **Kronika strachu**

– Lato 1949 r. – Skorobogatow po raz pierwszy publicznie przedstawił się jako oficer kontrwywiadu radzieckiego z Legnicy. Nieśmiało pytania o charakter pracy zbywał uwagą o zachowaniu tajemnicy i misji specjalnej. Wrażenie, które zrobił swoją wypowiedzią, zachęciło go do kontynuowania gry.

– Wrzesień 1949 r. – w pociągu relacji Jelenia Góra–Wrocław poznał oficera Oficerskiej Szkoły Piechoty Nr 2 w Jeleniej Górze ppor. Leopolda Biernackiego.

– 2 października – ppor. Biernacki przedstawił Skorobogatowowi swego kolegę z OSP Nr 2, ppor. Mariana Bakotę. Pierwsi dwaj poznani oficerowie ułatwili poznanie innych. Razem udali się na przejażdżkę konną za miasto. Od Biernackiego pożyczył buty wojskowe, furażerkę i mundur bez dystynkcji, których już nie zwrócił. Tego dnia, pokazując legitymację szkolną, przedstawił się jako lejtnant Armii Radzieckiej. Najbliższy wieczór i noc spędzili razem w kilku kawiarniach, kończąc libację w restauracji „Europejska”, gdzie na zaproszenie

„oficera NKWD” do jego stolika dosiedli się inni oficerowie WP: kpt. Rzeźnik, kpt. Bukowy, por. Jeż, por. Ryżewski i inni.

– 3 października – w mieszkaniu por. Jeża, od którego poprzedniej nocy pożyczył 100 zł, rozpoczął rozmowę o towarzyszącej Jeżowi kobiecie. Ten, przekonany o prawdziwości oficera radzieckiego kontrwywiadu, złożył mu pisemne oświadczenie o przebiegu znajomości z podejrzaną. Następnie razem z innymi oficerami udali się do restauracji „Świtezianka”. Skorobogatow prosił, by iść bocznymi uliczkami, gdyż, jak twierdził, „w mieście są nasi ludzie, którzy mogą za uważać, że on chodzi z Polakami”. W lokalu fantazja „oficera” wydawała się nie mieć końca. Wpatrzonym weń oficerom i przygodnym kobietom mówił o trzyletniej szkole wywiadu, gdzie uczył się między innymi języków obcych i zachowania się przy stole. Wystąpienie zakończył słowami o ojcu, który jest szefem sowieckiego wywiadu zagranicznego. Na dowód prawdziwości uniósł w górę wydaną w 1940 r. w Łucku legitymację szkolną. Nikt nie miał wątpliwości, że tak właśnie wygląda legitymacja NKWD. Jeżeli nawet ktoś wątpił – bał się zapytać. Podczas toczonych przy stole rozmów siedząca obok por. Jeża kobieta wspominała o pobycie w Zgorzelcu trzy lata wcześniej. Informacja ta spowodowała nagłe zainteresowanie Skorobogatowa, który rozpoczął przy stole publiczne śledztwo. Przyjacielska atmosfera przysła w chwili, gdy padły pytania – co robiła w Zgorzelcu? z kim jechała? kogo spotykała? Po wysłuchaniu wyjaśnień zażądał okazania dokumentów i oświadczył – jest pani aresztowana! Zaskoczonym biesiadnikom nakazał pozostanie na miejscu, por. Jeżowi zaś pójście z sobą. Obaj udali się do budynku Oddziału Informacji 10. Sudeckiej Dywizji Pancerniej. Na miejscu domagał się umożliwienia dostępu do telefonu. Żądanie zostało spełnione natychmiast, podobnie jak wydane w języku rosyjskim polecenie nawiązania łączności telefonicznej z jednostką NKWD w Legnicy, z którą przeprowadził fikcyjną rozmowę. Zdecydowanym głosem polecił oddać do swojej dyspozycji uzbrojonego żołnierza do pomocy w mającym nastąpić zatrzymaniu. Wszystkie jego żądania zostały spełnione, powrócił więc do restauracji, gdzie aresztował Aleksandrę Krystek. Podczas drogi i w areszcie Informacji groził jej wywiezieniem do jednostki radzieckiej w Kowarach.

Z napotkanym przypadkowo kolejnym już oficerem WP spędził kolejne godziny w „Świteziance”. Zmęczony wielogodzinną biesiadą i odgrywaniami niełatwej w końcu roli sowieckiego oficera, zatelefnował do Oddziału Informacji, aby przysłano mu żołnierza, który odprowadzi go na spoczynek. I tym razem rozkaz został wykonany.

– 4 października – z uzbrojonym żołnierzem WP udał się do biura meldunkowego Zarządu Miejskiego w Jeleniej Górze, gdzie oświadczył: – Jestem oficerem NKWD z Legnicy! – Zażądał wskazania miejsc zamieszkania kilku osób, po czym z posłusznym mu żołnierzem wyruszył do miasta. Tego samego dnia – adres otrzymał w urzędzie – przeszukał i osadził w areszcie proboszcza parafii prawosławnej



w Jeleniej Górze Stefana Bieguna oraz Eugenię Jurycz. Używając wulgarnych słów, mówił przerażonej aresztowanej: „w sąsiednich celach są tylko ci, których już zastrzeliłem, albo ci, których dopiero zastrzelę”. Zadawał pytania, na które nie było dobrych odpowiedzi. Wieczorem po wyłudzeniu od aresztowanej kwoty 3000 zł i wyrażeniu kilku negatywnych opinii o ciężkiej służbie w NKWD – zwolnił ją do domu.

– 18 października – po kilkunastodniowym pobycie w Koszalinie i Gdyni Skorobogatow powrócił do Jeleniej Góry. Już na stacji telefonicznie zażądał wojskowej asysty przy mających nastąpić w mieście aresztowaniach własowców. W towarzystwie strzelca Chowańskiego udał się do mieszkania znanego sobie inż. Mikołaja Sienkiewicza, zamieszkałego przy ul. Matejki 14.

– 19 października – o godz. 1.00 w towarzystwie żołnierza z pepeszą Skorobogatow, uzbrojony w pistolet, wszedł do mieszkania Sienkiewiczów. Powołując się na rozkazy NKWD, przeprowadził rewizję i przesłuchanie na temat wymyślonych przez siebie postaci. Wychodząc, zabrał ze sobą żonę inżyniera i jego wychowanka – ucznia jeleniogórskiego gimnazjum. Aresztowanych Zofię Sienkiewicz i Tadeusza Mackiewicza osadził w dobrze już sobie znanym areszcie Informacji Wojskowej. W trakcie przesłuchania Skorobogatow, trzymając przez cały czas rewolwer w ręce, strzelił w kierunku Mackiewicza. Kula utkwiała w czaszce. Po przewiezieniu do szpitala miejskiego ranny zmarł. Przerażonej opiekunce i lekarzom nakazał: „trzymać głowę na kłódkę”. Inżynier Sienkiewicz mimo to powiadomił UB. Jeszcze tej samej nocy śpiący we własnym łóżku fałszywy enkawudzista został zatrzymany.

Po kilku dniach przetransportowano go z Jeleniej Góry do aresztu Okręgowego Zarządu Informacji nr IV we Wrocławiu przy ul. Sztabowej. Jednakże tamtejszym oficerom śledczym, por. Witoldowi Miganowiczowi i kpt. Stanisławowi Kantochowi, powierzono jedynie wstępne czynności śledcze. Właściwym dochodzeniem zajęli się przybyli

specjalnie z Warszawy kpt. Michał Sztern i kpt. Zdzisław Michałowski – oficerowie Głównego Zarządu Informacji WP. Pominięto także lokalną prokuraturę wojskową, wyznaczając na prokuratora w sprawie płk. Mariana Frenkiela, wiceprokuratora Naczelnej Prokuratury Wojskowej (NPW) w Warszawie. W postanowieniu o pociągnięciu do odpowiedzialności karnej z 10 listopada 1949 r. płk Frenkiel pisał o aresztowanym: „zabił bezprawnie zatrzymanego przez siebie Mackiewicza Tadeusza, wywołując tym wrogie nastroje dla Związku Radzieckiego wśród szeregu ludzi, wobec których przez cały czas podawał się za oficera radzieckiego kontrwywiadu i godząc tym samym w jedność sojuszniczą Państwa Polskiego ze Związkiem Radzieckim”. Sam proces toczył się przed Wojskowym Sądem Rejonowym (WSR) we Wrocławiu, lecz w siedzibie Wojskowego Sądu Okręgowego Nr IV (WSO IV). Na przewodniczącego składu sędziowskiego WSR we Wrocławiu wyznaczono oficera radzieckiego płk. Stefana Piekarskiego, mimo że nigdy nie był on jego pracownikiem. Podczas procesu płk. M. Frenkiela zastąpił inny przybyły ze stolicy oficer NPW, ppłk Kazimierz Graff – zastępca Naczelnego Prokuratora Wojskowego.

### Wyrok w imię sojuszu

15 listopada 1949 r. o godz. 8.00 rozpoczęto proces, który trwał niewiele ponad 7 godzin. Zanim o godz. 15.35 płk Piekarski ogłosił jego zakończenie, sąd zdążył wysłuchać oskarżonego, 19 świadków, prokuratora i obrońcę! Po wystąpieniu prokuratora podtrzymującego stawiane w akcie oskarżenia zarzuty i żądającego za nie kary śmierci głos oddano obrońcy, który w bezbarwnym wystąpieniu wnioskował o wymierzenie „odpowiedniej kary pozbawienia wolności”. Na koniec głos zabrał oskarżony. W ostatnim słowie mówił: „Popełniłem to nieświadomie, bez celu, nie chciałem zabić. Proszę wziąć pod uwagę moją działalność w czasie okupacji i po wyzwoleniu. Nie starałem się nigdy wrogo działać przeciwko ZSRR. Jestem jeszcze młody. Czy to jest ostatecznością, że muszę ponieść śmierć? Proszę darować mi życie”.

Tego samego dnia o godz. 20.00 sąd ogłosił wyrok: kara śmierci, przepadek mienia i utrata praw publicznych na zawsze. W uzasadnieniu wyroku napisano: „Sąd nie dopatrywał się żadnych okoliczności łagodzących, a mając na uwadze, że pobudką dokonanego przez oskarżonego morderstwa było usiłowanie wywołania wśród ludności polskiej wrogiego nastroju do Związku Radzieckiego i oszkalowanie dobrego imienia oficera radzieckiego [...] doszedł do przekonania, że jedynym słusznym dla oskarżonego wymiarem kary może być tylko najwyższy ustawowy wymiar”.

Decyzją z 10 grudnia 1949 r. Bolesław Bierut nie skorzystał z prawa łaski. Wyrok wykonano w środę 14 grudnia 1949 r. o godz. 19.00 w Więzieniu Nr I przy ul. Kleczkowskiej we Wrocławiu. Trzy dni potem pochowano Skorobogatowa obok dwóch Polaków i Niemca w zachowanej do dziś kwaterze AVII Cmentarza Osobowickiego we Wrocławiu.



# CHLEB BĘDZIE BRONIĄ IDEOLOGICZNĄ

## Przemówienie Albina Siwaka na plenarnym posiedzeniu KW PZPR w Gdańsku, 10 czerwca 1983 r.

Albin Siwak (ur. 1933) był tym członkiem władz partyjnych, którego wystąpienia stały się w latach osiemdziesiątych przedmiotem niezliczonej liczby kawałów i skeczy. Błyskawiczny awans partyjny warszawskiego budowlańca-betoniarza zaskoczył niemal wszystkich, w tym także wielu członków PZPR. Siwak daleki był od rozpowszechnionego w tym czasie typu partyjnego aparatczyka – niewykształcony i bardzo prostoliniijny brygadzysta w Kombinacie Budownictwa Mieszkaniowego „Warszawa-Wschód”, operował językiem, który należał już do zamierchłej, komunistycznej przeszłości. Mimo to od lipca 1981 r. aż do rozwiązania PZPR w styczniu 1990 r. Siwak był członkiem Komitetu Centralnego, w latach 1981–1986 zasiadał w Biurze Politycznym, a w schyłkowym okresie władzy ludowej zasilił kadry PRL-owskich dyplomatów. Jego wyuczony fach – betoniarz – bardzo szybko nabrał podwójnego znaczenia i kojarzył się częściej z partyjnym „betonem” niż z zawodem budowlańca.

1983 czerwiec 10, Gdańsk – Przemówienie Albina Siwaka. Fragment protokołu z plenarnego posiedzenia KW PZPR w Gdańsku, odbytego w dniu 10 czerwca 1983 roku, którego tematem było ustalenie „Zadań wojewódzkiej organizacji partyjnej po XII Plenum Komitetu Centralnego PZPR”. W posiedzeniu udział wzięli m.in.: członek Biura Politycznego KC PZPR Albin Siwak, I Sekretarz KW PZPR Stanisław Bejger, komendant Komendy Wojewódzkiej MO gen. Jerzy Andrzejewski, członek KC PZPR Jan Łabęcki, wicewojewoda gdański Stefan Milewski oraz członkowie KW PZPR: Henryk Kubaszewski, Franciszek Potulski, Jan Turyn, Krzysztof Wesołowski i in.

*Obroniliśmy nie tylko socjalizm, ale zawróciliśmy z tragedii. W zimie 1981/1982 mogło dojść do tragedii. W styczniu 1982 r. 72 proc. elektrociepłowni nie pracowałoby. Byłaby konieczność ewakuacji ludności miast. Lekarze nie mieliby możliwości operowania. Na 17 grudnia był powód, jak ruszyć 0,5 mln ludzi do rozruchów. Jest dokument podpisany przez [Zbigniewa] Bujaka, aby z własnych szeregów uśmiercić kilkuset ludzi i zwalić to na komunistów. Niezbędne jest, aby komuniści mieli czyste ręce. Przeciwnik jest wspierany finansowo i moralnie przez zagranicę. Ludzie sceny, filmu mają dewizowe konta. W Paryżu jest konto „Miłosz” dla pisarzy, którzy nie chcą pisać i publikować w Polsce. Polskie społeczeństwo jest zróżnicowane głęboko i inaczej niż w innych krajach socjalistycznych. Podczas wydarzeń na Węgrzech do Austrii uciekło około 1 mln ludzi. Podobnie około 1 mln ludzi uciekło z Czechosłowacji.*

Także setki tysięcy osób uciekło z NRD przez Berlin Zachodni. Za dużo zakrętów było w naszym kraju. Ludzie mają prawo błądzić. Ale zróbmy wszystko, aby to nie trwało zbyt długo. Dzisiejsza klasa robotnicza to 56 proc. ludzi, którzy nie przeżyli wojny. Nie znają oni wielu spraw. My rodzice też jesteśmy temu winni. Kiedyś klasa robotnicza na zakrętach zawracała kierownictwo Partii, dziś trzeba tej klasie tłumaczyć pryncypia. W ostatnich latach Kościół był inspiratorem faktów, po których polata się krew. W Lublinie do 600 ludzi ksiądz mówił, że trzeba walczyć z komunistami i Sowiecami. Po wyjściu z kościoła zaczęła się tragedia. Znany jest kościół, który zapłacił 3,5 mln zł kary za kolegia, przed którymi stawiała młodzież. Prymas Glemp w KUL powiedział, że nigdy Kościół i Episkopat nie będzie się mieszał do polityki i do spraw związków zawodowych. Tymczasem w Podkowie Leśnej [Stefan] Bratkowski co niedzielę wygłasza około 1-godzinne przemówienie.

W ciągu ostatnich 2 lat wydano 742 zezwolenia na budowę kościołów, podczas gdy w latach 1945–1948 – 912. Dwanaście tysięcy młodzieży uczy się w seminariach duchownych. Kościół nie odpowiada za wyżywienie narodu, lecz rząd i Partia. Nasze rolnictwo jest inne od rolnictwa światowego. Chleb będzie bronią ideologiczną i strategiczną. Restrykcje Reagana nie pomagają nam w dokonywaniu zakupów na Zachodzie. 2,5 mln hektarów jest słabo użytkowanych przez właścicieli. Nastawienie gospodarzy na specjalizację, np. chmiel, tytoń, powoduje braki zboża. Są problemy z wystarczającą ilością środków ochrony roślin, aktywizowanie zakładów, które powinny pracować na rzecz rolnictwa. Trzeba prędzej czy później doprowadzić do scalenia gruntów. Jest niezbędna i oczekuje nas rewolucja w budownictwie. Stało się ono już przedmiotem działalności politycznej. Średnio na 5 robotników przypada 2,5 pracownika umysłowego w tej dziedzinie gospodarki. 30 proc. budżetu przeznaczają się na budownictwo mieszkaniowe. Jest tu konieczna zmiana szeregu przepisów, w tym także ustawy, która by gwarantowała tereny pod budownictwo mieszkaniowe. Potrzebne jest uruchomienie nieczynnych cegielni. Decyzja o wcześniejszych emeryturach spowodowała zmniejszenie zatrudnienia o ponad 0,5 mln fachowców w zakładach pracy. Pokój na świecie jest także sprawą bardzo kosztowną. My ponosimy także społeczne koszty pokoju. Jest w naszym życiu nadal bardzo dużo nieprawidłowości. Do Komitetu Centralnego dociera szereg negatywnych przykładów świadczących o szerzącym się złu. Potwierdza je przeprowadzane postępowanie wyjaśniające. Trzeba więc niejednokrotnie stosować kary partyjne, administracyjne i przewidziane prawem. Nowe władze partyjne IX Zjazdu wybrał demokratycznie. Na Zjeździe była autentyczna walka wyborcza i polityczna, którą Partia wygrała. Narada Aktywu Partyjnego zainspirowała wiele potrzebnych decyzji i ustaw. Będą one systematycznie wcielane w życie.

Opracował: Sławomir Cenckiewicz, OBEP IPN Gdańsk

Źródło: Archiwum Państwowe w Gdańsku, KW PZPR w Gdańsku, sygn. 2384/157, brak paginacji stron, oryginał, mps.

# RUCH LUDOWY W SŁUŻBIE RZECZYPOSPOLITEJ 1939–1989

Przygotowana przez OBEP IPN w Krakowie wystawa poświęcona dziejom organizacji ludowych działających w regionie świętokrzyskim i małopolskim może stać się ważnym przyczynkiem w dyskusji nad rolą ruchu chłopskiego w powojennej historii Polski. Region będący kolebką politycznego ruchu polskiej wsi ma szczególne warunki, by taką dyskusję rozpocząć.

Wystawa, na którą składa się kilkadziesiąt fotogramów i kopii dokumentów, dzieli się na kilka odrębnych tematycznie i chronologicznie części.

Pierwsza pokazuje działające w warunkach konspiracji struktury współtworzącego państwo podziemne Ruchu Oporu Chłopów („Roch”) oraz utworzonej w 1940 r. „Chłostry”, późniejszych Batalionów Chłopskich. Te wydarzenia obrazują zdjęcia i krótkie biografie najwybitniejszych działaczy ruchu ludowego owego okresu, fotografie oddziałów leśnych i ich dowódców, jak choćby zdjęcia i dokumenty związane z działającym w Miechowskim oddziałem Tomasza Adrianowicza „Pazura”.

Druga część pokazuje lata powojenne. Ekspozowane dokumenty obrazują powstanie Polskiego Stronnictwa Ludowego i związaną z nim heroiczną walkę w obronie suwerenności Polski. Znajdujące się na planszach wystawowych dokumenty, reprodukcje i fotografie, ilustrujące straty PSL poniesione w wyniku komunistycznego terroru i wyborczych fałszerstw, nadają wysiłkowi ówczesnych przywódców PSL wymiar szczególnie wymowny.

Jest wreszcie część wystawy poświęcona ruchowi ludowemu sterowanemu przez władze komunistyczne. Ale i tu udało się pokazać różne postawy Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego – od pełnego serwilizmu po próby odzyskania niezależności partii, od zaparcia się idei partii chłopskiej po działalność wychowawczą i kultywowanie tradycji polskiego ruchu ludowego.

Odnajdziemy także wśród ekspozowanych materiałów te, które ukazują tworzenie się w latach siedemdziesiątych komitetów chłopskich walczących o swobody obywatelskie i ekonomiczne na polskiej wsi. Stanowiły one załączek powoływanych od 1980 r. rolniczych

Autorzy scenariusza  
i koncepcji plastycznej:  
Ryszard Terlecki,  
Teodor Gąsiorowski,  
Jarosław Szarek,  
Marek Lasota

związków zawodowych. Dochodzimy w końcu do zdjęć i dokumentów prezentujących odradzanie się u schyłku lat osiemdziesiątych autentycznych chłopskich organizacji politycznych, co w konsekwencji doprowadziło do aktywnego udziału działaczy ludowych w przełamaniu hegemonii partii komunistycznej i współtworzenia pierwszego rządu III Rzeczypospolitej.

Otwarcie wystawy 13 września w Wojewódzkim Domu Kultury w Kielcach towarzyszyła sesja popularyzacyjna przygotowana przez krakowskie OBEP. Jej tematyka obejmowała przede wszystkim powojenne dzieje organizacji ludowych na Kielecczyźnie, stosunek Kościoła do ruchu chłopskiego oraz prezentacje związanych z regionem najwybitniejszych postaci PSL. Uczestniczyli w niej zaproszeni goście oraz grupa młodzieży z kieleckich szkół.

W uroczystości inauguracyjnej ekspozycję oraz we wspomnianej sesji brali udział: wiceprezes IPN Grzegorz Ciecierski, marszałek województwa świętokrzyskiego Józef Szczepańczyk, który objął patronat nad wystawą, oraz liderzy ruchu ludowego na Kielecczyźnie.

Oprócz ekspozycji w Kielcach wystawa będzie prezentowana w Sandomierzu, Tarnowie i innych miastach regionu.

Powitanie Mikołajczyka w Warszawie





„Solidarność Rolników”

Wielka koalicja



# ADRESY I TELEFONY ODDZIAŁÓW IPN W POLSCE

BIAŁYSTOK	15-637 Białystok, ul. Warsztatowa 1a Tel. (0-85) 664 73 71
GDAŃSK	81-311 Gdynia, ul. Witomińska 19 Tel. (0-58) 620 52 00
KATOWICE	40-009 Katowice, ul. Warszawska 19 Tel. (0-32) 253 73 31
KRAKÓW	31-027 Kraków, ul. Mikołajska 4 Tel. (0-12) 421 11 00
LUBLIN	20-071 Lublin, ul. Wieniawska 15 Tel. (0-81) 532 16 43
ŁÓDŹ	91-479 Łódź, ul. Orzeszkowej 31/35 Tel. (0-42) 640 62 64
POZNAŃ	61-739 Poznań, ul. Plac Wolności 17 Tel. (0-61) 851 52 15
RZESZÓW	35-060 Rzeszów, ul. Słowackiego 18 Tel. (0-17) 852 05 35
WARSZAWA	00-207 Warszawa, Pl. Krasińskich 2/4/6 Tel. (0-22) 530 86 25
WROCŁAW	50-153 Wrocław, Pl. Powstańców Warszawy 1 Tel. (0-71) 340 65 32



BIULETYN INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ  
Redaguje Biuro Edukacji Publicznej IPN  
Zespół redakcyjny: Barbara Polak, Elżbieta Lewczuk  
Projekt graficzny: Krzysztof Findziński  
Adres: 00-839 Warszawa, ul. Towarowa 28  
Tel. (0-22) 581 89 24, 581 89 25, fax (0-22) 581 89 26  
e-mail: [bep@ipn.gov.pl](mailto:bep@ipn.gov.pl)  
[www.ipn.gov.pl](http://www.ipn.gov.pl)  
skład: Agencja Poligraficzna Sławomir Zych  
ul. Okopowa 78, 01-042 Warszawa  
tel./fax (0-22) 838 60 01 ÷ 04 w. 269



# K S I A Ź K I I P N

## ■ „Aparat bezpieczeństwa w Polsce w latach 1950-1952 taktyka, strategia, metody”

Wstęp: *Andrzej Paczkowski*

Wybór i opracowanie: *Antoni Dudek, Andrzej Paczkowski*

Drugi z serii „Dokumenty” tom zawiera w większości po raz pierwszy publikowane materiały ilustrujące taktykę, strategię i metody funkcjonowania Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego w okresie jego największego rozwoju organizacyjnego. W zbiorze znalazły się 23 dokumenty, głównie z archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji.

Tom obejmuje:

- protokoły z narad kierownictwa resortu bezpieczeństwa publicznego,
- przemówienia i referaty ministra BP Stanisława Radkiewicza,
- rozkaz ministra BP w sprawie „walki z wywiadem państw imperialistycznych”,
- pisma kierownictwa resortu dotyczące spraw i zadań bieżących MBP,
- analizy i opracowania obrazujące sposoby zwalczania przez aparat bezpieczeństwa niepodległościowego podziemia zbrojnego, a także „wrogiej działalności” na wsi, w przemyśle, w szkolnictwie oraz działających oficjalnie organizacjach społeczno-politycznych.

(cena: 20,00 zł)

## ■ „Grudzień 1970 w dokumentach MSW”

Grudzień 1970 to jedna z najbardziej tragicznych dat powojennej historii Polski. Po 30 latach na wiele pytań nadal nie znamy odpowiedzi. Dotarciu do prawdy posłuży niewątpliwie opublikowanie 68 nieznanych dotychczas dokumentów z Archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji oraz Biura Ewidencji i Archiwum Urzędu Ochrony Państwa. Dokumenty wybrał i opracował naczelnik oddziału warszawskiego Biura Edukacji Publicznej IPN doc. dr hab. Jerzy Eisler.

Na zbiór składają się:

- codzienne Informacje o sytuacji w kraju, przeznaczone dla członków najwyższego kierownictwa partyjno-państwowego,
- Notatki z posiedzeń Sztabu MSW w grudniu 1970 roku (niestety niekompletne),
- zapisy telekonferencji z komendantami wojewódzkimi Milicji Obywatelskiej, organizowanymi w grudniu 1970 r. przez komendanta głównego MO gen. Tadeusza Pietrzaka.

(cena: 20,00 zł)

## ■ „Czerwiec 1976 w materiałach archiwalnych”

Wybór, wstęp i opracowanie *Jerzy Eisler*

Zawiera 57 krytycznie opracowanych, dotychczas niepublikowanych (z wyjątkiem jednego) dokumentów, które ukazują ówczesne wydarzenia w nowym świetle. Na zbiór – oprócz materiałów wytworzonych przez struktury MSW – składają się m.in.:

- protokoły i informacje z posiedzeń KW PZPR w Radomiu,
- dyrektywy i informacje KC PZPR
- sprawozdania Prokuratury Wojewódzkiej w Radomiu.

Bunt robotniczy, który pierwotnie miał podłoże czysto ekonomiczne, przekształcił się w protest społeczny, a nawet polityczny.

W 97 zakładach produkcyjnych w 24 województwach wybuchły strajki. Uczestniczyło w nich ponad 71 000 osób. W Radomiu, Ursusie i Płocku doszło do demonstracji ulicznych.

Tylko w Radomiu do spacyfikowania robotniczej rewolty skierowano 1543 milicjantów i zomowców oraz kilkuset cywilnych funkcjonariuszy MSW.

(cena: 20,00 zł)

## ■ „Rozpracowanie i likwidacja rzeszowskiego Wydziału WiN

w dokumentach UB (1945-1949)”

Wybór, wstęp i opracowanie *Zbigniew Nawrocki, Tomasz Balbus*

To pierwszy krytycznie opracowany wybór dokumentów operacyjnych komunistycznych służb bezpieczeństwa. Tom zawiera:

- 96 dokumentów z teczek obiektowych,
- raporty specjalne
- sprawozdania dekadowe, miesięczne i roczne

z pracy operacyjnej funkcjonariuszy Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Rzeszowie i Powiatowych Urzędów Bezpieczeństwa Publicznego w województwie rzeszowskim. Książka ukazuje metody operacyjne oraz planowy i systematyczny proces rozpracowywania i w konsekwencji rozbicia przez UB siatki konspiracyjnej jednej z najsilniejszych i najlepiej zorganizowanych struktur podziemia niepodległościowego w Polsce.

(cena: 20,00 zł)

Książki wydane przez Instytut Pamięci Narodowej można zamówić pisząc na adres Gospodarstwa Pomocniczego IPN, ul. Towarowa 28, 00-839 Warszawa. Do podanej ceny książek należy dodać koszty przesyłki pocztowej. Opłata za przesyłkę będzie pobierana od zamawiającego przy odbiorze.

# K S I A Ź K I I P N

